Nr. 18. Poznań, Niedziela 29go Lipca 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25). w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Słówko
o
solidarności narodowej.

Podobno margrabia Wielopolski w chwili, gdy jego zwolennicy zaczęli go opuszczać, tłomacząc się potrzebą solidarności narodowej. nazwał ostatnią solidarnością owczą. Warto przypomnieć to ulotne słowo nieszczęśliwego margrabiego naszym autorytetom, tem więcej, że dziś przeciętny Poznańczyk, pozujący na powagę, uważa Wielopolskiego za typ prawdziwego polityka polskiego.

Solidarność narodowa jest w ścisłem znaczeniu tego wyrazu trzymaniem się „kupy“, że użyję sposobu mówienia naszego chłopa, wobec wspólnego przeciwnika. Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich — oto definicya tego pojęcia. Że takiej solidarności jesteśmy wyznawcami wszyscy, o tem wątpić nie można. W rzeczach sięgających podstaw bytu naszego narodowego, dotyczących praw naszych narodowych, czy to pisanych. czy przyrodzonych, stanowimy mimo sporów naszych domowych jednę gromadę: przecież nawet owi odsądzeni przez naszych „prawowiernych“ od czci i wiary „secesyoniści“ nie targnęli się na zasadę tej solidarności, skoro przy ściślejszych wyborach głosowali z większością na bardzo sobie niesympatycznych kandydatów poselskich.

Ale jest u nas w Poznańskiem grupa ludzi, która nauczyła się oddawna wyzyskiwać poczucie solidarności narodowej w interesie zagarnięcia pod swe kierownic wo całego społeczeństwa. Nie organizuje ona „solidarności owczej“ w stylu komitetu czerwonych w czasie misyi pacyfikacyjnej Wielopolskiego; nie ma w zapasie ani sztyletów, ani stryczka, tem mniej trzech haków, wspomnianych przez „Gońca Wielkop.“, żeby niemi pogrozić nieposłusznym. Takie rekwizyta byłyby zresztą zbyteczne. Zaszczepiwszy bowiem w naszem Wielkopolskiem społeczeństwie za pomocą usłużnej prasy tak nazwany przez Niemców „beschränkten Unterthanenverstand“ względem siebie, włada nad naszymi Wielkopolanami, jak władyka Feaków nad dobrodusznym swym ludkiem. Jedynym rekwizytem, jakiego bardzo często używa wtedy, kiedy i z feackiej piersi wyrwie się czasem głos wolny obywatela, jest berło tak nazwanej opinii publicznej. Oczywiście tę opinią sami sobie stworzyli na obraz i podobieństwo swoje, a ludek Feaków wierzy, że gromy, jakie z kolumn ich dzienników i z ust ich wiecowych Hermesów padają na zdrajców. warchołów, secesyonistów, szatanów chodzących po ziemi (sic!) et hoc genus omne, są gromami właściwej opinii publicznej. Mój Boże miły, ta opinia nasza w sprawach interesu publicznego — gdzie jej szukać?

Dawniej Rzymianie wyobrażali sobie, że owa vox populi, to i głos Bogów i stosownie do tego pojęcia opinię publiczną upostacili w posągu Minerwy z bronzu, na znak, że o ten twardy kruszec i Koriolany rozbijali sobie czaszki. Nasze autorytety nie mają zmysłu artystycznego — natomiast są genialnymi w sztuce dekoratorskiej. Wyobraźcie sobie czytelnicy prosty manekin, utkany przez nich z własnych uprzedzeń, niechęci osobistych, z domieszką osobistych interesów i żółci, a najmniej zasad, to będziecie mieli wyobrażenie opinii naszej publicznej w życiu publicznem. Zajrzyjcie tylko do laboratoryum tych dekoratorów. Nic jak tandeta wypłowiałych frazesów i przebrzmiałych haseł, zapożyczonych częścią z tradycyi staroszlacheckich, częścią też od ancien régime. Tu znajdziecie między innemi przyborami teatralnemi konfederatkę obok pikelhauby, kurtkę ułańską ekspowstańca obok kapoty Marcinkowskiego, żółte buty Rejtana obok pończoch szambelańskich, wogóle coś w rodzaju garderoby zapustnej, w którą przebierają swój manekin, mający niby to wyobrazić opinią polityczną całego narodu. Jeźli macie słabe nerwy, nie zaglądajcie do tej pracowni, bo zaduch jaki zionie ze starzyzny, zadusi was.

Prasa opozycyjna, czyli mówiąc żargonem naszych autorytetów „szowinistyczna“ nieraz już dobrze poskubała samochwalcę: zdziera z niego dekoracyę i pokazuje publiczności to, co jest w nim oryginalnego, tj. skórę i sieczkę; mimo to, póki smak społeczeństwa naszego się nie zmieni, trud naszej prasy nie będzie tak prędko uwieńczony pomyślnym skutkiem. Walcząc tylko piórem o zdepopularyzowanie owego tępiciela swobodnej myśli, znaleźlibyśmy się w położeniu krytyków niemieckich wieku zeszłego, co całe dziesiątki lat męczyli się nad tem, żeby wygnać Hanswursta ze sceny niemieckiej.

W każdym razie prasa opozycyjna zasłużyła sobie na uznanie, bo dowiodła, że owa „teorya o solidarności narodowej“ komentowana przez usta naszych autorytetów należy do tego samego rodzaju kłamstw konwencyonalnych, co teorya wilka, głoszona na wiecu lisów o nietykalności własności cudzej.

Organ secesyonistów nazwał kiedyś zasadę tak przyjętej solidarności obręczą, ścieśniającą oddech organizmu narodowego. Zupełna słuszność, ale przewódca tego stronnictwa wyniósłszy zrywanie solidarności narodowej, jako takiej, do wysokości czynnika politycznego, musiał zrobić z tem hasłem fiasco w kołach życzliwych ruchowi ludowemu patryotów, którzy posiadają tyle jeszcze zmysłu zachowawczego polskiego, żeby uznawać solidarność narodową wobec nieprzyjaznych narodowi naszemu żywiołów za postulat polityczny. Zrywanie solidarności tj. solidarności narodowej w rozumieniu margrabiego Wielopolskiego, staje się nieraz błogosławieństwem, tak jak niem jest zresztą zamach stanu w strupieszałym organizmie państwowym; choćby dla tego tylko, że jest środkiem desinfekcyjnym w chorobach zakaźnych społeczeństwa; ale staje się farsą, jeżeli zamachowicze dają pozór do mniemania naszym autorytetom, że chodziło im tylko o wypędzenie z operetkowego Olimpu starych bogów i o wprowadzenie w ich miejsce nowych.

Życzymy szczerze przywódzcom ruchu ludowego, żeby przez jasne wypowiedzenie tego, *czego chcą*, usnęli ten pozór.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Wychodzący w Tryeście: „*Il Pensiero Slavo*“ pisze pod nagłówkiem: „*Russofilismo*“ co następuje:

„Jakież to myśli straszne budzą się w mózgach naszych wrogów, gdy się mówi o rusofilizmie! Są to umysły dla których wyraz sam starczy za wszystko. które się nie zastanawiają nad konsekwencyami politycznemi rusofilizmu.

Tych wszystkich, którzy okazują sympatye dla Rosyi uważa się u nas w Południowej Słowiańszczyźnie za ludzi politycznie podejrzanych. Jeżeli o kimś wiedzą, że po Rosyi podróżował. choćby tylko w interesie kupieckim, tego unikają starannie. aby nie popaść u rządu w po-

dejrzenie, że utrzymuje się stosunki z ludźmi skompromitowanymi. Są tacy wśród Słowian samych. Jeżeli cię zaś widzą w towarzystwie podróżnego z Rosyi, lub też damy rosyjskiej, zwiedzającej nasze Alpy, sa gotowi pobiegnąć na policyą, aby zadenuncyować szpiega rosyjskiego, wysłannika samego cara. Jeżeli zaś ktoś jako literat napisze kilka korespondencyi do dzienników rosyjskich i stamtąd odbierze honorarya, jesteś wówczas in flagranti schwyconym na gorącym uczynku, stajesz się w oczach publiczności agentem prowokacyjnym Rosyi.

Wszystkie te insynuacye są wręcz śmiesznemi. Nasi Wrogowie Włosi i Niemcy widzą w Rosyi żywioł nieprzyjazny i niebezpieczny nietylko dla Austro-Węgier, ale i dla całego świata.

Tymczasem w rzeczywistości jest u nas tak, iż rusofilizm bywa używany przez Włochów, Niemców i Madziarów w niecnym celu zohydzenia naszych dążności narodowych, naszych usiłowań podjętych w celu obrony narodowej.

Rusofilizmem posługują się ci panowie, ażeby zwrócić na nas uwagę władz dla wskazania nibyto antypaństwowych naszych dążeń.

Nie jest to niemożebnością, że w końcu masa małomyślącej publiczności uwierzy w te insynuacye i nas uważa za przepłaconych ajentów rosyjskich, którzy bronimy tylko sprawy narodowej.

Wielka masa ma skłonność do wiary, jak ją dzieci posiadają, w straszaki i fantasmagorye.

Ale najwyższe nas ogarnia zdziwienie, gdy osoby stojące na czele poważnych instytucyi państwowych mają na sprawę tak przewrotne poglądy. Jest u nas dużo ludzi, zajmujących stanowiska pełne odpowiedzialności, którzy w rusofilizmie upatrują wroga myśli ludzkiej i uczucia. Dawniej nas nazywano panslawistami — dziś zdaje się wyraz ten z mody wyszedł i wchodzi w użycie rusofilizm. Dziś mamy według mniemania tychże ludzi w każdem miasteczku z ludnością słowiańską conajmniej jednego agenta rosyjskiego. — . . .

* * *

W „Opawskim Tydenniku“ organie Czechów śląskich znajdujemy artykuł następujący:

„W pośród liberałów niemieckich na Śląsku zapanował jakiś ruch nowy. Ruch ten zmierza ku temu, aby prezydenta obecnego kraju dr. Jägera usunąć i zastąpić go innym, liberałem czystej wody. W sprawdzie i obecnie na Śląsku pan prezydent nie rządzi, ale dzieje się to, co zechcą panowie Menger, Haase i Müller, ale zawsze im nie po ręce, że na p. Jaegra ma wpływ partya prusofilska, posiadająca przymieszkę antysemicką. Z tej to racyi głównie chcą oni dr. Jaegra usunąć.

My Słowianie śląscy, tak Czesi jak Polacy, nie mamy najmniejszej racyi do wypowiadania żalu z powodu grożących niebezpieczeństw dotychczasowemu prezydentowi, gdyż za jego rządów nic a nic nie zdarzyło się, coby oznaczało zmianę jakąkolwiek na lepsze.

Nasze czeskie gimnazyum nie zostało dotąd upaństwowionem, w szkołach ludowych uczą ze szkodą wychowania dziatwy jak dotąd po niemiecku, bez względu na to, iż stan rzeczy taki sprzeciwia się ustawom zasadniczym konstytucyi.

Również nic nie zmieniło się na lepsze w stosunkach rządu do ludności, bo czeskie władze jak dotąd korespondują z ludnością po niemiecku. Zwracamy tylko uwagę na to, jak stronnictwo liberalne wyzyskuje wszędzie swoje stanowisko, które obecnie zajmuje i jak agresywnie występuje wszędzie, gdzie tylko pewna skłonność okazuje się ku antysemityzmowi.

* * *

„Narodni Listy“ poświęcają stosunkom naszym poznańskim artykuł wstępny, omawiając działalność komisyi kolonizacyjnej.

„Serce nas Czechów jako Słowian boli, gdy uprzytomnimy sobie ów odwieczny zalew germanizacyjny ziem słowiańskich i owe przepowiednie niemieckich statystów, bezustanne i bezuczuciowe o rychłej germanizacyi resztki ziem polskich. Widać z tych zestawień ową nienasyconość Niemiec, pochłaniających bezustannie żywioł słowiański. Prorokują, oni, że za kilkadziesiąt lat nie będzie w Wielkopolsce Polaków.(!)

A nasi Polacy anstryacy co na to?

Widzą oni ten ciągły postęp wrogów naszych i ich własnych, jak nieprzeparcie postępują naprzód. Ale nad tem przechodzą zimno i obojętnie do porządku dziennego, to ich z równowagi nie zdolne wyprowadzić. Przeciwnie jeszcze nam, którzy z tem samem niebezpieczeństwem mamy do czynienia radzą, abyśmy ulegli, abyśmy się zgodzili na to, co nam Niemcy dają. Ale naszych Polaków ślepa opanowała moskalofobia! O niczem nie mówią, o niczem nie wiedzą tylko o Moskalach! Nam każą Moskali nienawidzieć, a sami z naszymi Moskalami tj. Niemcami przyjaźń gorącą zawierają....

K.

BADANIA NAUKOWE.

Kary i procesy zwierzęce.

Thierstrafen u. Thierprocesse przez Karola v. Amira streściła C. W.

W dawnych wiekach, zwłaszcza począwszy od 13go aż do 17go i 18go poddawano zwierzęta tak samo jak ludzi, karom urzędowym przez powieszenie, zakopywanie żywcem w ziemi, palenie na stosach i t. d. Duchowieństwo rzucało przeciwko nim klątwy kościelne, wypowiadane według z góry określonych reguł i przepisów. Karę śmierci poprzedzał urzędowy jej wyrok.

Oddawna już wiedza zwróciła uwagę na fakty powyższe, uczeni badacze zaś zajęli się zbieraniem materyałów, rzucających na nie światło prawdy. Największe zasługi pod tym względem położył francuz, Berriat-Saint-Prix, którego w małym zaledwie stopniu zdołali prześcignąć następcy. Starsi francuzcy pisarze wyprowadzają świeckie kary zwierząt z prawa mojżeszowego, kościelne klątwy zaś przypisują wpływowi demonologji średnich wieków. Manabrea twierdzi, iż cała owa procedura karna winna być uważana jedynie jako symbol, mający na celu wywołanie i wykształcenie w nas poczucia sprawiedliwości: Grimm przypisuje ją wrodzonemu ludziom instynktowi personifikowania zwierząt; inni uczeni tłomaczą ją tradycyą metampsychozy, niektórzy wreszcie zaczątek jej wyprowadzają z epoki społeczeństw pierwotnych, kiedy zwierzęta stały na jednym niemal stopniu rozwoju z człowiekiem.

Początkowo kary urzędowe świeckie dotyczyły jedynie zwierząt domowych: prawie zawsze pociągano wówczas do odpowiedzialności tylko pojedyńcze osobniki, które spowodowały śmierć lub okaleczenie człowieka. We Włoszech karano zwierzęta z urzędu nieraz nawet i za uszkodzenie rzeczy, nie biorąc w rachubę, iż w niejednym wypadku mogły one służyć po prostu jako narzędzia zemsty w rękach właściciel swoich.

W procesach prawnych oskarżonymi bywają zwykle właściciele zwierząt, oskarżycielami zaś w niektórych miejscowościach, jak we Francyi i Flandryi, przedstawiciele władzy. W Niemczech długi czas prawo oskarżania przysługuje stronie obrażonej: właściciel zwierzęcia może wydać je oskarżycielowi lub też odpowiedzieć na

---

21

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Nasz pokój, podobnie jak wszystkie sale w koszarach ma posadzkę asfaltową i do połowy wysokości ścian pomalowany jest na kolor ognisście czerwony. Dla czego ma taki kolor, a nie inny — tego ani ja, ani ty, ani żaden socyolog w wielkiej i bogatej ojczyźnie naszej nie wie. W czterech rogach pokoju stoją łóżka, a właściwie nary na żelaznych podstawkach. Na wązkim i krótkim sienniku rozciągnięto moje indywidualne prześcieradło, poduszkę i kołdrę w czerwone i czarne pasy, którą, — pamiętasz? — otulaliśmy się, czytając „Czto diełat?“ Obok łóżka stoi sosnowa szafka. W tej szafce... Nie, za żadne skarby świata nie nażiszę, co jest w tej szafce! Nad każdem łóżkiem wisi w ramkach portrecik... samego...

Kiedy umieszczono we właściwych miejscach moje efekta, feldfebel znowu kazał mi iść za sobą. Weszliśmy do magazynu, t. j. do dużej i bardzo ponurej sali, gdzie stoją ogromne paki i skrzynie, pooznaczane rozmaitemi cyframi tak wielkiemi i tak grubemi, jak słupy w przyzwoitym płocie. Cyfry te wyrażają rozmiary poszczególnych części umundurowania. W tej sali dopiero dziegieć z karbolem — moje uszanowanie! Skoro, rozebrawszy się, jąłem przymierzać szaty z rękawami i nogawicami, sala napełniać się zaczęła. Żołnierze wsuwali się cichaczem i zbliżali z wielką nieśmiałością. Słyszałem ich ciche szepty, uwagi, okrzyki podziwu albo ironii i rady, wygłaszane w formie nieokreślonej. Stopniowo ośmielili się i uformowali zwarte koło. Teraz obserwowano cienkość płótna i niezwykły krój mojej koszuli, podziwiano gatunek tkaniny, użytej przez moją ciotkę na tę część bielizny, o której zaklinam Cię na wszystko, co masz świętego, nie rozmawiaj nigdy z flirtującemi damami! — szczypano moje łędźwie, próbując ich tęgości, uderzano mnie z lekka pod kolana w celu zbadania mocy kroku, wpijano paznogcie w mięśnie ramienia i t. d. Ażeby przerwać te eksperymenty, wydobyłem z żakiety porte-tabac i częstowałem nowych kolegów papierosami, poczynając kolej od feldfebla. Ten z początku wzdrygał się z uporem, a nawet z pewną surowością, kiedy jednak dał się wreszcie zmiękczyć moją grzeczną prośbą, wziął prawdopodobnie przez nieuwagę, cztery papierosy. Nieuwaga feldfebla udzieliła się jego podkomendnym. Każdy żołnierz najprzód zasadniczo, choć grzecznie wymawiał się od wzięcia papierosa, a później brał przez nieuwagę, cztery, pięć, sześć, albo i ośm sztuk. Jeden z nich był nawet tak dalece roztargniony, że wziął kilka ostatnich papierosów wraz z porte-tabac'iem. Schował to wszystko do kieszeni, uśmiechnął się smętno, wykonał rękami szereg ruchów, świadczących o niekłamanej a bardzo dla mnie pochlebnej sympatyi i, poświstując od niechcenia, wyszedł ze składu.

Zdaje mi się, że w poprzednim liście opiewałem już kształty mojego uniformu, a w szczególności tej jego części, której, niestety płeć piękna nie przywdzieje nigdy na tym padole płaczu. Odzież, której, niestety, płeć piękna nie przywdzieje nigdy na tym padole płaczu, ta musi mieć, jak łatwo bystrym Twoim rozumem pojmiesz, rozmaite wymiary stosownie do szerokości talii i długości nóg piechura. To też trzy istnieją kategorye tej sukni: bardzo duża, mniejsza i najmniejsza. Jaka mnie losem przypadła — nie pamiętam, to tylko mogę konstatować w każdej chwili, że mi sięga pod same pachy. Cała ta ogromna suknia zapina się na jeden jedyny żółty guzik nie osłonięty wcale żadnym wymysłem zgniłego zachodu. No — i co to za guzik! Przeżyłem

skargę. W razie zwycięztwa oskarżyciela skazywano występne zwierzę na śmierć przez powieszenie lub uduszenie. W niektórych okolicach grzebano je, kamienowano lub palono żywcem. Wyrok dopiero z początkiem 17go wieku określał wyraźnie rodzaj śmierci, zalecając niekiedy odpowiednią procedurę i co do szczątków, które rzucano na ścierwisko lub zakopywano w ziemię.

Przejście pomiędzy wyrokami starego i nowego autoramentu stanowi wydarzenie, jakie miało miejsce w 1578 r. z występną krową, którą sprzedano na zarznięcie, aby potem wbić na pal łeb jej i wystawić go na placu szubienicznym. Było to skróceniem dawnej procedury publicznego ścinania głowy. — W Sardynii obrzynano uszy winowajcom. W Austryi w 17-ym wieku skazano psa na czasowe więzienie. Wieszano zwierzęta najczęściej na drzewach lub na szubienicy. Na jednej z fresek kościoła św. Trójcy w Falaise widzimy czworonożnego zbrodniarza, zgładzonego w ubraniu ludzkiem.

Wielce rozpowszechnionym prawie we wszystkich krajach średniowiecznej chrześcijańskiej Europy był zwyczaj uroczystego skazywania na śmierć zwierząt, które służyły ludziom jako narzędzia sprośnego rozbestwienia. Nie ulega wątpliwości, iż procedura karna w danym wypadku opierała się na niektórych ustępach prawa mojżeszowego.

Kościół tolerował najzupełniej uśmiercanie szkodliwych zwierząt, wychodząc z zasady, iż wszystko, co przypomina złe czyny, winno podlegać zagładzie. Pszczoły, wsączające jad trujący w żyły człowieka, traciły prawo istnienia: wymagała tego policyjno-etyczno-społeczna kultura ówczesna, częstokroć wielce zabobonna, jak o tem świadczy szereg faktów. W 1474 roku n. p. spalono na Kohlenbergu pod Bazyleą koguta, oskarżonego o zniesienie jajka. Wszyscy nowożytni autorzy uważają fakt powyższy jako skarcenie czarów i herezyi. Kurę, piejącą kogucim głosem, zarzynano z obawy, aby nie przyniosła nieszczęścia.

Najczęstsze i najbardziej udowodnione kary urzędowe zwierząt spotykamy we Francyi. Około 14go wieku zaczynają je stosować w Sardynii, w sto lat później we Flandryi, w drugiej połowie 16go wieku w Holandyi, Niemczech, Włoszech. Szwecyi: o dwa wieki później natrafiamy na pierwszy ich ślad w Anglii. W Hiszpanii, pomimo bliskiego jej sąsiedztwa z Francyą nie wiedziano prawdopobnie nic o świeckich karach zwierząt. Te ostatnie różnią się całkowicie od kościelnych, polegających na przekleństwie i ekskomunikowaniu już nie pojedyńczych domowych stworzeń, lecz całych gromad szkodliwych w codziennem życiu gadzin, robactwa, myszy, szczurów, kretów, owadów, liszek, ślimaków, pijawek, wężów oraz innych drobnych i większych żyjątek. W Kanadzie wyklinano dzikie gołębie, w południowej Francyi bociany, w Niemczech wróble, nad jeziorem Genewskiem węgorze, uważane za niebezpieczne. Procedura karna niosła nie zemstę i nie ucisk szkodnikom, lecz stanowiła raczej środek zapobieżenia przeciw szerzonemu przez nie zniszczeniu.

O ekskomunikacyi zwierząt w formie rzucanej na nie anatemy wspominają już w 12-ym wieku, a nawet pozostały trwałe i pewne jej dowody z owych czasów. Odtąd aż po nowszą epokę posiłkowano się nią często, w średnich wiekach wszakże zastępowało ją nieraz zwyczajne przekleństwo, ułożone piśmiennie przez zarządcę dyecezyi, a wygłaszane ustnie, według z góry zaprowadzonego rytuału przez miejscowego proboszcza. W niektórych miastach, jak n. p. w Lozannie, nie znano klątw innego rodzaju.

Akcya, poprzedzająca przekleństwo i ekskomunikacyą, o ile sądzić można z pozostałych dotychczas akt urzędowych, nosiła najczęściej cechy wytoczonego procesu, przyczem zwierzęta były zawsze stroną oskarżoną, oskarżający zaś rekrutowali się z pomiędzy właścicieli zagrożonych posiadłości; niekiedy zaś występowała ze skargą gmina. Proces rozpadał się zwykle na dwa działy: do pierwszego należały rozprawy nad możnością wypędzenia oskarżonych; drugi stanowił dyskusyę z powodu nieposłuszeństwa wyrokowi banicyi. Sądzącymi zarówno w pierwszym, jak i w drugim dziale procesu byli zwykle duchowni, kurya biskupia lub delegat tejże: zdarzało się wszakże niekiedy, iż pierwszą częścią procesu kierowali sądownicy świeccy bez współudziału duchownych. W okolicach, w których zamiast ekskomunikacyi używano tylko przekleństwa, wybierano dla wygłoszenia go częstokroć kogoś z ludu, nie zwracając się bynajmniej do księży. Jeżeli zaś proces prowadzony był przez duchowieństwo jedynie, wówczas oba jego działy łączyły się zwykle w całość; do napomnienia (monitorium), jakiem zamykano część pierwszą, dołączano warunkowy wyrok przekleństwa lub ekskomunikacyi. Pierwsza część procedury kończy się zwykle wyrokiem, oznaczającym termin wydania zwierząt, przed upłynięciem którego zapewniano tymże straż ochronną. Zdarzało się również niekiedy, iż wyrok skazywał zwierzęta na wygnanie bądź do bliżej oznaczonych, bądź też do nieokreślonych lecz odległych miejscowości, gdzie zanikało szkodliwe ich działanie. Wrzucano je w morze lub wydalano na dalekie wyspy, lub wreszcie wyznaczano im swobodny zakątek w obrębie gminy z zastrzeżeniem nie przekraczania granic jego.

Przy ekskomunikowaniu i przekleństwie zwierząt nie zawsze jednak postępowano drogą prawną: dowodem tego słynne, nieomal przysłowiowe wyklęcie komarów z Foigny w 1121 r., którego nie poprzedzała żadna procedura urzędowa. Kaznodzieja protestancki, wyklinając np. w 1559 r. w Dreznie z kazalnicy gromadę wróbli, które świergotem swoim odrywały uwagę słuchaczy od słów jego, niezwołał również areopagu sędziów dla uprawomocnienia swej klątwy. Ekskomunikacya roślin i w ogóle istot nieżyjących odbywała się także bez wszelkich prawnych obrządków.

Najwcześniejsze klątwy i ekskomunikacye mają charakter czysto legendowy. Natrafiamy na ślad ich w życiorysach świętych, gdzie do 1200 go r. jedynie na drodze cudów oczekiwano pomyślnego ich działania. Od 1200go r. począwszy, scholastycy średniowieczni zaczęli roztrząsać zagadnienie, o ile klątwy zwierząt mogły mieć racyę bytu. Odtąd spory w kwestyi powyższej zaczęły być coraz częstsze i, trwając aż do 15go wieku, pociągnęły za sobą w niektórych krajach, jak n. p. w Portugalii, zupełny zakaz ekskomunikacyi, zarówno jak i egzorcyzmu.

Około 1750 roku zwyczaj ekskomunikowania zwierząt wymarł pozornie wszędzie, przekleństwa i złorzeczenia jednak trwały wciąż zarówno w świeckiej, jak i w duchownej swej formie. Do dziś dnia jeszcze znajdujemy zastosowanie ich w Kalabryi, gdzie służą jako środek ochronny przeciw owadom, naoczny zaś świadek twierdzi, iż używano ich niedawno przeciwko wilkowi, nie gromadnie, lecz pojedyńczo szerzącemu szkody w pewnej okolicy.

Znacznie później, aniżeli o klątwach i ekskomunikacyi słyszymy o właściwych t. zw. p r o c e s a c h zwierzęcych. Dokładne ich ślady odnajdujemy dopiero w 15-ym wieku: pojawiają się one jednocześnie na drodze świeckiej i duchownej, zanikając stopniowo dopiero z początkiem 16go wieku. Ostatni proses zwierzęcy w całkowitej swej formie urzędowej rozegrał się dopiero w 1733 r. na dzodze świeckiej, a wieśniacy z Syoe we włości Holstenhus rozpoczęli jeszcze coś podobnego w naszym wieku 1806 r.

Wszystkie wyżej wymienione fakty procedury karnej zwierząt przytrafiały się jedynie u narodów zachodnio-europejskich. Co się tyczy Słowian, zwłaszcza południowych, stanowczo twierdzić można, iż w formie nader pokrewnej przetrwały one wśród nich aż po dzień dzisiejszy. Wół, byk, koń i świnia podlegają tam karom urzędowym za zabójstwo lub ciężkie zranienie człowieka, proces jednak w podobnych razach bywa wytaczany nie czworonożnym zbrodniarzom, lecz ich właścicielom. Zwykle rodzina

---

już na tym padole doświadczeń lat ośmnaście, a jednak nie miałem sposobności obserwowania podobnego guzika, podobnego poprostu fenomenu. Na taki guzik możnaby zapinać wrótnie stodół, wierzeje kościołów, kute podwoje pałaców...

Skoro zostałem odziany zupełnie według formy, udałem się do kancelaryi naszej roty w celu załatwienia kilku drobnych formalności. Pokoik kancelaryjny rozdziela na dwie połowy niska balustrada. Z tamtej strony prezyduje przy stoliku chudy i żółty s c r i b a, żydek, jeżeli mię oko nie myli, — z tej oczekują interesanci. Owego popołudnia drzemał tam na ławce pod oknem sam jeden zgarbiony niedbale, zgrzybiały starzec w mundurze podoficera. Lewy rękaw tego munduru cały prawie pokryty był naszywkami, na znak ogromnej ilości lat, wysłużonych w wojsku. Starzec brodę miał białą, szeroką, w kształcie łopaty, à l a c z a r. Począł mi się przyglądać czerwonemi, ślepawemi oczyma i aż żółte zęby wyszczerzył z ciekawości. Oddałem mu należne uszanowanie i stanąłem przy drzwiach. Dostrzegłszy naszywki ochotnika na moich epoletach, oddał mi grzecznie pozdrowienie wojskowe i wciąż pokaszlywał, nie wiedząc od czego zacząć rozmowę.

— Wy ochotnik? — zagadnął mię koniec końców.

— Nie inaczej, panie podoficerze — odpowiedziałem, salutując.

— A do jakiej roty zaliczyli — a?

— Do czwartej, panie podoficerze.

— Czeremisowa rota — a?

— Nie inaczej...

— A do którego r o z w o d u?

— Do trzeciego, panie podoficerze.

— A do którego oddziału?

— Do pierwszego, panie podoficerze.

— Dziwi mię bardzo, panie ochotniku, — rzekł łaskawie stary wojak, widocznie zadowolony z mojej postawy i służbistości, — dziwi mię to, że pana przyjęto. Jakim nawet sposobem stało się coś podobnego? Tu do nas rzadko kiedy biorą ochotników. Nie chcą... kłopot z temi panami ochotnikami: — ni to żołnierz, ni to oficer, czort sam wie, co to jest takiego. Jakim sposobem trafiłeś do nas — a? Powiedz!...

— Plecy mam, panie podoficerze.

— Plecy? Patrzcie! I kogóż to? Z poruczników któryś... pojmuję...

— Wyżej, panie podoficerze.

— Ze sztabs-kapitanów? Patrzcie!

— Wyżej, panie podoficerze.

— Kapitana? — zapytał ciekawie, poprawiając się na ławce.

— Wyżej...

— Podpułkownika? którego? Powiedz...

którego... — szeptał, mrugając powiekami, podobnemi do torb na sieczkę.

— Wyżej...

— Co? samego jenerała brygady?

— Wyżej...

Starzec wyjął ręce z kieszeni, nieznacznie uniósł się z siedzenia, pochylił się ku mnie z uszanowaniem i zapytał tajemniczym szeptem:

— Dywizyjnego?...

Zbliżyłem usta do jego nadstawionego ucha i wyszeptałem:

— Wyżej, panie podoficerze.

— Jenerała korpusu! — wrzasnął, stając na równe nogi i salutując z wyprężeniem, niebezpiecznem nawet w jego wieku.

— Nie inaczej, panie podoficerze.

Jakim sposobem strzelił mi do głowy koncept o protekcyi jenerała korpusu — nie umiem powiedzieć.

Wszystko jedno zresztą... Wracałem z tej kancelaryi w błękitnem usposobieniu, jakbym zdał na piątki stosunkowo trudny egzamin. Wszystkie moje obawy, cały niesmak i niepokój — rozwiały się, niby dym. Zrozumiałem od razu o co chodzi — i napełnił mię duch swobody. Zaprawdę — ten stary podoficer wyświadczył mi nieoszacowane dobrodziejstwo! Kiedy otwarłem drzwi, prowadzące do naszego pokoju, zobaczyłem w nim trzech junkrów,

nabitego lub rannego upomina się o śmierć wizowajcy lub pieniężne wynagrodzenie strat poniesionych. Wyrok opiewa najczęściej ukamienowanie przestępcy, przyczem właściciel obowiązany jest rzucić pierwszy kamień, pozostali zaś obecni resztę. W 1864 r. w slawońskiej wiosce Pleternica, została skazaną na śmierć świnia za obgryzienie uszów rocznej dziewczynce. Mięso owej świni zostało oddane psom na pożarcie, właściciele jej zaś, rodzajem odszkodowania, musieli złożyć dla dziecka całą wyprawę ślubną.

Procesy zwierzęce u południowych Słowian odbywają się najściślej na drodze czysto prawnej i nie pozostają w związku, przynajmniej pozornym, z klątwami kościelnemi. Procedura karna podlega tutaj wogóle znacznie mniej ścisłemu obwarowaniu, aniżeli w zachodniej Europie. W 1866 r. mieszkańcy wioski Didovici w Slawonii, zagrożeni szarańczą, uwięzili jednę z nich, największą i, skazawszy ją na śmierć, po odbytym sądzie pociągnęli do rzeki Orliawy, gdzie wśród klątw i złorzeczeń rzucili ją w wodę.

W znacznie mniejszym stopniu rozpowszechnione są kary zwierząt u innych ludów słowiańskich. W Rosyi znanym jest dotychczas jakoby jeden tylko wypadek w latach między 1650 a 1700, kiedy dziki kozieł bodzący urzędownie skazany został na wygnanie do Syberyi.

Kary i procesy zwierząt znane są nietylko w epoce chrześcijaństwa. Spotykamy zarodki ich w prawie mojżeszowem. Przykazania, wygłoszone na Górze Sinai zalecały kamienowanie woła, który ubódł na śmierć człowieka i wzbraniały spożywania mięsa przestępcy. Według ustaw boskich, zabójstwo człowieka zanieczyszczało kraj cały i tylko krew zabójcy mogła zmazać plamy. Tutaj zatem kary zwierząt miały znaczenie czysto religijne. Taki sam charakter noszą one dziś jeszcze u niektórych wschodnich ludów. Niedawnemi czasy we wschodniej Afryce ubito publicznie psa, który wszedł do arabskiego meczetu. Procedura karna zwierząt u szczepów aryjskich, n. p. u Persów, ma cechy raczej prywatnej zemsty, aniżeli kary sakramentalnej. W księdze Venedidad Zarathustra pyta Ahuramazdy, co począć ze wściekłym psem, który pokąsał człowieka lub bydło. Ze względu na poszanowanie psa, jako stworzenia świętego, Ahuramazda odpowiada, że pokutować za to musi właściciel, jak za krzywdę, wyrządzoną rozmyślnie, winien bowiem strzedz należycie chore zwierzę, psu zaś obcinają za pierwszym razem prawe, za drugim lewe ucho, a po każdem z kolei późniejszem pokąsaniu następuje obcięcie goleni i ogona.

Kary zwierząt u średniowiecznych arjów europejskich, jak u Greko-Italów wypływały znowu przeważnie z aktów kultu religijnego. Zasady Pytagoryjczyków i Empedoklesa, uznających w zwierzęciu duszę ludzką, co z punktu prawa mogło uzasadnić odpowiedzialność karną zwierząt, pozostały w teoryi jedynie; jako zwyczaj narodowy wszakże mogło być uważane według Plutarcha, przeznaczanie na ofiary tylko stworzeń, winnych śmierci ludzkiej. Platon uznawał konieczność procesu przeciwkom zwierzętom, które spowodowały zabójstwo człowieka: rodzina zabitego winna była, zdaniem jego, oskarżać zabójcę, rozstrzygnięcie sprawy zaś i spełnienie wyroku należało do urzędników policyjnych; czworonożni kryminaliści podlegali karze śmierci lub wygnaniu po za granice kraju.

Pewne podobieństwo do średniowiecznych kar zwierzęcych odnajdujemy w prawie, przypisywanem Numie Pompiliuszowi, a dotyczącem mianowicie wyorywania kamieni granicznych. Cały zaprząg wołów wraz z przewodnikiem tychże był skazywany w podobnym wypadku na ofiarę Jowiszowi w myśl prawa, które zaleca oddawać bogu nietylko tych, co go obrazili, lecz nawet i narzędzia, które obrazę ową przyczyniły.

U dzikich ludów kary zwierząt są prawie nieznane. Przykład prawnego ich sądzenia przytaczają od niedawna w opowiadaniach o jednem zaledwie z plemion środkowej Afryki. Njapu, gdzie kozioł, broniąc się przed psem, który go napadał, pokaleczył go śmiertelnie. W obecności nieszczęsnej swej ofiary kozioł został osądzony i skazany na śmierć. Poderznięto mu gardło, mięso oddano do zjedzenia zamożnym, podczas gdy biedacy raczyli się szczątkami psa zabitego. Źródło całej owej procedury, niestety pozostało nieznane, wiadomo tylko, że pies wielce jest ceniony w pokoleniu Njapu i że w opisanym wypadku właścicielem jego był możny człowiek, dzicy owi zaś spożywają mięso nawet i występnych swych współbraci.

Jeżeli po dorywczem wyszczególnieniu niektórych ogólnych właściwości prawa karnego zwierząt na wschodzie i w Afryce, wrócimy znowu do kar średniowiecznych i nowoczesnych, wówczas dojdziemy do wniosku, iż te ostatnie jak również grecko-rzymskie, słowiańskie i perskie możnaby wyprowadzić z pierwiastków ogólnego typu aryjskiego. Charakter pierwotny kar tych mógł zmieniać się, stosownie do odrębnego i najzupełniej samodzielnego rozwoju systemu prawnego u niektórych pojedyńczych grup narodów. Na kodeks średniowieczny wpływały również obrządki i ceremoniały prawne z czasów przedchrześcijańskich. Wielką rolę odegrał tu także animizm aryjski.

Robactwo, które według arjów europejskich pod wstrętną swą postacią zachowuje dusze ludzkie, jest uosobieniem demonów we wszystkich wierzeniach staro-indyjskich i perskich, niszczenie ciał ich zatem i klątwy, na nie rzucane, są właściwie wojną przeciw tkwiącemu w nich złemu.

Europejscy arjowie różnią się od azyatyckich swych współbraci tem, iż wypowiadają wojnę tylko w razie potrzeby, tamci zaś pod wpływem dogmatów wiary zajmują wciąż stanowisko zaczepnoodporne względem wrogów swoich. Klątwy i kary jednak, jakie spotykamy i tu i tam, są raczej odczarowywaniem, egzorcyzmem dusz ludzkich lub djabelskich, aniżeli zemstą właściwą. Procedura urzędowa karna jest tylko narzędziem owego odczarowywania. Proces zwierzęcy należałoby tu nazwać raczej procesem upiorów. Jako jeden z jego przykładów może posłużyć wydarzenie znane w literaturze islandzkiej, a które miało miejsce na półwyspie Snjófellnes w 1000 roku, to jest w roku prawnego wprowadzenia chrześcijaństwa w Islandyi.

Zamożna kobieta nazwiskiem P o r g u n n a, przybywszy tam z wysp Hebrydzkich, umarła w ciągu roku na jakąś chorobę, spowodowaną czarami. Właściciel domu, w którym mieszkała, nie spełnił ostatniego jej życzenia, dotyczącego mianowicie spalenia pozostałej po niej pościeli. Mszcząc się za to, nieboszczka przybrała jakoby kształty wampira i wyssała krew z żył swego wroga, oraz sześciu jego parobków, sześciu osób z jego domu i pięciu ludzi obcych. P o r o d d r, właściciel dworu Froda, w którym mieszkała Porgunna oraz cała szóstka zabitych jego sług długi czas potem błądzili po półwyspie bądź we własnych postaciach, bądź jako zwierzęta-upiory, aż wreszcie postanowiono zapobiedz temu. Pierwszym aktem tego postanowlenia było spełnienie życzenia zmarłej: spalono do szczętu jej pościel, następnie wytoczono proces upiorom. Duchowny poświęcił przedewszystkiem zabudowania folwarczne i wyspowiadał mieszkańców, poczem upiory, zasiadające co wieczór dokoła ogniska, zostały wezwane przed sąd: oskarzyciele zarzucali im nieprawne błądzenie po zagrodach, jak również szkody, przynoszone zdrowiu i życiu mieszkańców. Wówczas każdy z podsądnych wstawał i wychodził, robiąc krótkie, suche dowcipy. Na zakończenie duchowny odprawił nabożeństwo i odtąd przestało straszyć na półwyspie.

Widzimy tu najdokładniej chrześciański egzorcyzm, połączony poniekąd z dawnemi pogańskiemi obrzadkami. W kościelnych procesach zwierzęcych związek ten jeszcze widoczniejszy: poganizm przybiera tu najzupełniej zewnętrzne cechy chrześciaństwa. Metamorfozę upora lub demona, tkwiącego w ciele zwierzę-

---

którzy podczas moich obłóczyn z mustry powrócili, a teraz rozwalali się na łożach. Wszyscy trzej spoglądali na mnie z ciekawością, z tą badawczą ciekawością, w której niema ani cienia sympatyi. Wyprostowałem się, wyciągnąłem ręce „wzdłuż szwów“, zbliżyłem się do pierwszego z brzegu i głośno, wyraźnie, z deklamacyą wypowiedziałem:

— Mam honor przedstawić się! Jestem junkier 43 Astrachańskiego pułku piechoty — Maurycy, syn Andrzeja Zych.

Tamten zerwał się z łóżka, stanął wyprostowany i wyrecytował w sposób również podniosły, co następuje:

— Mam honor przedstawić się! Jestem junkier 43 Astrachańskiego pułku piechoty — Piotr, syn Anastazego Biezdonyszkin.

Podałem mu rękę i, zbliżywszy się do następnego, takim samym głosem wypowiedziałem znowu:

— Mam honor przedstawić się! Jestem itd.

Ten zawiadomił mię, że nazywa się Bronisław, syn Wojciecha Pociosek. Trzeci wymienił nazwisko: Mikołaj Siłycz (nie wiem jak się ta nazwa tłomaczy na język środkowoeuropejski) Zubcow.

Zawiązała się naprężona rozmowa. Nad samym wieczorem Biezdonyszkin i Zubcow wydalili się jakoś jednocześnie, pozostawiając mnie sam na sam z Bronisławem Pocioskiem. Zbliżyłem się do niego i zagadałem przyjaźnie po polsku. Syn Wojciecha zbladł, stropił się niesłychanie i odwrócił do okna. Po niejakim czasie stanął do mnie frontem i rzekł po rosyjsku ostro i porywczo:

— Bardzo pana proszę, abyś mówił ze mną tylko po rosyjsku! Prawo nakazuje... Jesteśmy w wojsku, nie w salonie...

Kto wpoił w tego sympatycznego junkra przekonanie, że po polsku należy mówić tylko w salonie, tego ja naturalnie nie wiem.

No — ale dosyć tego bazgrania. Polecam Cię całem sercem opiece żandarmów i stójkowych.

Twój

M a u r y c y.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JERZY BRANDES.

UCZUCIE NARODOWE.

(Mowa wygłoszona przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze w dniu 1go lutego 1894. roku.)

Tłom. W. R.

(Ciąg dalszy).

Wybitnemu karyerowiczowi wolno dzisiaj stanąć na czele jakiegokolwiek przedsiębiorstwa a jutro zaczepić je z całą energją. To drobnostka przecież! Może on przewodniczyć stowarzyszeniu ku paleniu umarłych, a rok później zabronić każdemu proboszczowi udziału w pogrzebowym obrządku palenia*). Nic nie zabija, nic szkody nie przynosi. Ludzie śmieją się nieco, lecz nikt się nie gorszy.

Nie ma opinii publicznej w kraju. I wolno ministrowi w parlamencie stać się przedmiotem humorystyki, a przytem skarżyć się publicznie na komizm własnej osoby.**) Stan jednak jest tego ro-

*) Minister oświaty Goos. (Przyp. tłom.)
**) Minister sprawiedliwości Nellemann.

cia, stanowi tu djabeł; klątwy, rzucane na demony i upiory, przerodziły się stopiowo w kościelną procedurę karną zwierząt, egzorcyzm zaś w złorzeczenie lub ekskomunikacyą. We wszystkich krajach pogańskich, w których procesy zwierzęce miały byt trwalszy, chrześcijaństwo musiało rozciągnąć nad niemi baczność pilniejszą: tym sposobem przybrały one charakter kościelny, rozpowszechniając się w tej formie po całym świecie. W latach między 1500 a 1750 kościół musiał odpierać obce żywioły, zdobywające wpływ na ówczesną wyżej omawianą procedurę. We Francyi nakoniec przybiera ona znowu charakter czysto świecki. W górnych Niemczech, w Danii oraz Slawonii zachowuje wciąż cechy dawnego pogaństwa. Stopień pośredni między kościelnemi a pogańskiemi stanowią klątwy czysto świeckie.

Prawo karne cywilne i właściwe procesy zwierzęce w istocie swej nie łączą się z sobą, pomimo to wszakże mogły oddziaływać na siebie wzajemnie. W Montenegro n. p. mogłoby prawo karne zwierząt rozwijać się w zupełności pod wpływem procesu zwierzęcego, ponieważ prześladuje ono tam przebywającego w zwierzęciu złego ducha.

LITERATURA I SZTUKA.

GERHART HAUPTMANN.

Studyum.

IV.

„Jeżeli Tobie, drogi ojcze, dramat ten dedykuję, to kierują mną znane Ci uczucia, których objaśniać na miejscu tem nie ma potrzeby

„Opowiadanie Twoje o dziadku, który w młodych latach jako tkacz ubogi, równy bohaterom moim, nad krosnami siadywał, stało się zarodkiem dramatu. Może tam tryska siła żywotna, a może próchno się sypie. — bądź co bądź jednak, jest to najlepsza cząstka, na którą zdobyć się umie „taki biedak jak Hamlet“.

Twój

Gerhart.“

Takie słowa wypisał na czele utworu swojego autor „Tkaczów“. Smutne opowiadania ojca i jęki ludu wykołysały młodość jego. Pozbierał łzy i przekleństwa szląskich Paryasów i uwił z nich pieśń potężną, która jak huragan przeleciała po całym kraju niemieckim i blaskiem dramatycznego geniuszu opromieniła skronie poety. Nie ma tu misternej intrygi, nie ma kataklizmów miłosnych, nie ma bohatera-jednostki. Pięć luźno połączonych obrazów, pięć melodyi rozpaczliwej nędzy, a bohaterem lud — oto dramat Hauptmanna. Tłum wydziedziczonych, którym śmierć głodowa bezustannie w oczy zagląda, podniesiono tu do wyżyn zbiorowego bohatera, — są to motywy pokrewne rzymskim tragedyom Szekspira, ale nigdzie lud nie jest tak wyłącznym, tak potężnym działaczem.

W pierwszym akcie wiedzie nas poeta do biura fabrykanta Dreissigera w dzień wypłaty. Kilkudziesięciu tkaczów, bladych, wychudłych rozłożyło swój towar na ławach i czeka wyroku kasyera. Za tygodniową pracę całych rodzin, za krwawe wysiłki wyżerające tuk z kości tych ludzi, za dnie i noce spędzone nad krosnami, rzucają im na stół marną jałmużnę: 12—13 srebrników. Dziecko głodem osłabione pada omdlałe na ziemię, stary Baumert pokazuje w chustce psa zarzniętego — strawę dla zgłodniałych dzieci, — kobiety żebrzą o zaliczkę, zdaje się, że upiór nędzy wyciąga długie, wychudłe ramiona i przygarnia tę biedną, w rozpaczliwej boleści pogrążoną gromadę. A wśród łez, skarg i rezygnacyi strasznej odzywa się pomruk buntu. Baecker, tkacz młody, ciska groźne wyzwanie w twarz wyzyskiwaczom.

Akt drugi odsłania przerażający obraz ubóstwa w jaskiniach szląskich murzynów. Ludzie snują się tu jak widma bezkrwiste, jeden jęk, jedno tchnienie bezgranicznej nędzy. Wszędzie kalectwo, zagasłe źrenice, zapadłe piersi. Pokarm budzący obrzydzenie, brud cuchnący i kleisty i jakaś straszna wielka beznadziejność. W posępnej norze zjawia się drugi z buntowników, Jaeger; wraca on z wojska, widział świat inny, ludzi wesołych i zdrowych, a teraz znowu siedzi w tej jaskini, gdzie strużyny od kartofli i psy pieczone stanowią przysmak nędzarzy. Kontrast potęguje w sercu jego uczucie buntu i oto rozlega się pieśń rewolucyjna, („Weberlied“), którą podobno istotnie w górach szląskich śpiewano:

Hier im Ort ist ein Gericht
Noch schlimmer als die Vehmen,
Wo man nicht erst ein Urteil spricht
Das Leben schnell zu nehmen.

Hier wird der Mensch langsam gequält,
Hier ist die Folterkammer,
Hier werden Seufzer viel gezählt
Als Zeugen von dem Jammer

Hier hilft kein Bitten und kein Flehen.
Umsonst ist alles Klagen,
Gefällts euch nicht, so könnt ihr gehen
Am Hungertuche nagen.

I coraz głośniej rozbrzmiewa pieśń tkaczów nieszczęsnych i w coraz potężniejszych, a prostotą swoją porywających waryacyach, jęczy psalm nędzy.

Iskra rzucona — przedświt rewolucyi.

Akt trzeci to mistrzowski obraz rodzajowy. W wiejskiej oberży spotykamy typy niby od niechcenia szkicowane kilku kreskami, a przedziwnie plastyczne i wyraziste. Stolarz zbolarz zbogacony na trumnach dostarczanych zagłodzonym tkaczom, komiwojażer kokietujący córkę oberzysty i żartujący z ubogiego ludu „którego nędzę rozkrzykują dzienniki“, kowal wygrażający żandarmowi, tkacze rozszemrani nad niedolą swoją — wszystko to przesuwa się przed okiem widza i składa całość charakterystyczną, żywą i wypukłą. W oberży zjawia się wieść Hiobowa. Dreissiger obniżył płacę z 13 na 10 srebrników za sztukę tkaniny. „Niech jedzą trawę“ — powiedział, — krzyk, rozpacz i zemsty szał dziki. Pod wodzą Baeckera, Jaegera i atlety kowala szereguje się tkaczów drużyna. Pieśń rewolucyjna huczy w szynkowni wiejskiej i przed dom Dreissigera dąży tłum wzburzony. Tam ją zaśpiewa, niech ją kat usłyszy.

Po raz czwarty podnosi się kurtyna. W salonie Dreissigera zgromadziła się rodzina fabrykanta i kółko bliższych znajomych. Pastor Kittelhaus urąga towarzystwom wstrzemięźliwości i związkom humanitarnym, które tylko robotnikom „w głowie przewracają“. Dreissiger potępia „hołotę“, niezadowoloną z jego ojcowskiej opieki, a nauczyciel domowy, Weinhold, otrzymuje natychmiastową dymisyą za słówko litości, rzucone w obronie pokrzywdzonych. W tej chwili rozlega się za oknem pieśń rozżalonych tkaczów. Fabrykant rozkazuje pojmać Jaegera i odprowadzić do więzienia. Lecz tłum zemstą pijany, odbija więźnia, rozpędza i znieważa żandarmów — moment jeszcze, a runą bramy pałacu i rozpocznie się dzieło zniszczenia w domu krzywdziciela ludu. Dreissiger wypróżniwszy żelazną szafę, ulatnia się wraz z gośćmi swojemi tylnemi drzwiami, za któremi czeka już powóz do podróży. Przez kilka sekund scena jest zupełnie pustą. W bocznym salonie słychać brzęk szyby rozbitej. Nagle huk wielki, grzmiące Hurra! i znowu cisza. Po chwili ro-

---

dzaju, że z drugiej strony, — a mówimy tu o wiernych przyjaciołach konstytucyi — nie objawia się żadna tolerancya. Niczego nie przebacza, nawet udziału w uczcie dla nielubionego człowieka***) Wszystko notują. Żadnej nikczemności nie uważają za hańbę. Pewien redaktor brudnego pisemka otrzymuje od ministra przywilej bezpłatnego procesu.†) — Wraz z poczuciem prawa ginie miłość wolności.. Czyż można przypuścić, że stan taki nie wywiera żadnego wpływu na talenty krajowe?! Nie! takie przypuszczenie byłoby bezmyślnem.

Cóż my widzimy? Widzimy zrazu obiecujące talenty — bojaźń je ogarnia, płyną na mielizny, i z dnia na dzień bezbarwniejszą ich twórczość. Widzimy talenty, które rzeczywistości lękają się coraz więcej, rażą manierą i toną w chorobliwej, sennej atmosferze. Widzimy — i to regułą stało się nieomal, — talenty zniszczone przez charakter, który właśnie podnosić je winien. Maleńki talencik spotężnieć może, jeźli charakter go wznosi, talent wielki natomiast karłowacieje wskutek zatraty charakteru. Widzimy w literaturze osobistości uchylające pokornie głowę przed luminarzami z pod ciemnej gwiazdy, którym niegdyś harde czoło stawiały; widzimy jak skomlą dla miłego chleba. Widzimy jak inne, niegdyś wybrane talenty, zwracają się ku targowisku i kupczą. Widzimy jak dziennikarze mienią się i mienią, na rynkach stają i siebie wraz z perfumem, nazwanem przez nich własnem przekonaniem, temu sprzedają, kto najwyższą ofiaruje cenę, — temu nawet, którego wczoraj kopali. To uchodzi, to im ujmy nie przynosi, — pozostają ludźmi honoru, — nie gorsi od innych.

Główną rzeczą jest to: Zginęło uczucie stanowiące zasadniczy warunek wszelkiej twórczości w wielkim stylu, - uczucie, że w prądzie rozwojowym płyniemy, zaufanie do własnych sił i siły ziomków swoich, myśl, z której rodzą się wielkie zamiary i plany. Nie ma ani wiary, ani nadziei.

Porównajcie panowie w duchu stanowisko młodych i starszych Norwegczyków z tym smutnym obrazem. Czyż nie czujecie jaka wiara w Norwegią i przyszłość Norwegii ich przenika, unosi i porywa? Czyż sądzicie, że jeden jedyny z nich pytał się lub pytać musiał z trwogą kiedykolwiek, czy na śmierć nie jest skazaną Norwegja? Patrzcie! Jaka potężna odwaga dusze ich napełnia! I to nietylko starszych, słynniejszych, lecz również młodszych prawie bez wyjątku. Oni to zawsze w ten lub ów sposób zajmują uwagę Kopenhagi. Gunnar Heiberg — oto przykład świeży.*) Bez względu na to, czy talent ich jest wielki czy mały, zdrowy czy chory, dążą naprzóde odważni, szatany nie ludzie. Nigdy nie wątpią, nigdy nie tracą śmiałości.

Zaiste! nie można powiedzieć: Podobnie u nas się dzieje. I na czem polega różnica w tem usposobieniu fundamentalnem?

Przedewszystkiem oczywiście na tem, że Norwegii nie dręczą tak tragiczne wspomnienia jak Danię. Kontrast między Norwegją a Danją to kontrast rosnącej i upadającej niepodległości, ginącej i wzrastającej powagi. Oprócz tego jednak stanowi różnicę kontrast następujący: O ile wiem należą wszyscy znakomitsi, młodsi pisarze norwegscy podobnie jak większość duńskich znakomitości literackich do tego kierunku, który oznaczamy ogólnem mianem lewicy. Otóż lewica norwegska miała zawsze uczucie narodowe po swojej stronie, a wiatr przychylny wiejący z tego uczucia za sobą, — lewica duńska natomiast walczyła zawsze przeciw uczuciu narodowemu, a w części nawet do boju tego zniewoloną była — dziwnie niefortunne położenie. Mieć tak potężne, tak żywiołowe, tak bezwiedne

***) Uczta jubileuszowa na cześć Jerzego Brandesa w r. 1891. (Przyp. tłom.)

†) W Danii istnieje instytucya bezpłatnych procesów, aby ludzie niezamożni mogli bronić czci swojej przeciw oszczerstwom. Gdy kilka osób zniesławionych przez rządowe pisemko „Punsch“ wytoczyło proces organowi temu, przyznał minister sprawiedliwości Nellemann naczelnemu redaktorowi „Punscha“ bezprawny w tym wypadku przywilej „wolnego procesu.“

*) Oryginalny dramat Gunnara Heiberga p. t.: „Der Balcon“ zbudził powszechną sensacyą w Danii i Niemczech. (Przyp. tłom.)

zlega się za kulisami ostrożne stąpanie i tłumione okrzyki: W lewo! na górę: pst... powoli.... wolno.... nie pchać.... podaj mi rękę.... trzymaj... mam coś... precz z dusicielami! Dalej na wesełę!... idź ty!... ty pierwszy!...“ Na scenie zjawiają się chłopcy i dziewczęta. Zrazu rozglądają się nieśmiało, lecz wkrótce odzyskują odwagę i cała gromada nędzarzy rozsypuje się po eleganckich salonach Dreissigera. Kobiety huśtają się na sofach. inne spoglądają ciekawie w lustra kryształowe, a tymczasem napływają coraz nowe tłumy i zemstą dysząc pytają o fabrykanta. Uciekł! Wściekłość ogarnia tkaczów zawiedzionych. „Arm soll a wern. Koenn' mir Grass fressen, friss du Saegespaene.“ Rozpoczyna się dzika hulanka. Po kilku minutach zadyszanej pracy w gruzach leży dom Dreissigera.

Akt piąty: Chata starego tkacza Hilsego. Ta sama nędza jak w akcie drugim. zamiast podłogi — bruk. podarta bielizna na sznurach. garnki prutowane. płaty i błoto. — jaskrawy obraz zrzerażającego ubóstwa. Nad krosnami siedzi tkacz sędziwy. Zestarzał się w ucisku, błagając Boga o zlitowanie. a gdy niebios sklepienia jęk jego nie przebił. wtedy w głuchej rezygnacyi duch się zaskorupił: „Wasz udział na ziemi, mój przed tronem Boga“. — Do cichej chaty przenika szemranie zbuntowanych tłumów. Jak orkan szaleje tłuszcza rozpasana i nic jej nie wstrzyma. Z minuty na minutę rośnie jej potęga. szał ogarnął niewolników białych. Syn starego Hilsego. Gottlieb, słyszy pobudkę bojową i rwie się na pole walki. ale posłuszny siwemu ojcu opuszcza rękę bezwładnie. W tem strzały zagrały w oddali. To oddział wojska zjawił się na placu. Żonę Gottlieba ogarnia gniew dziki. niepohamowany. Cztery dzieci głodem umorzone zaniosła do grobu, krwi więc i zemsty pragnie nieszczęśliwa. Za oknem słychać pieśń tkaczy i okrzyk groźny: „Weber raus“. Tam bracia walczą, a Gottlieb. przykuty rozkazem ojca do progu chaty. ściska nerwowo siekierę. Żona jego już dawno szaleje, jak furya zemsty. w krwawych zapasach, a jemu w uszach dźwięczą jej przekleństwa: Tchórzu! Spódnico! W tem nowa salwa zagrzmiała. Krew czuć w powietrzu. Dłużej nie wytrzyma, zerwał się i leci do bitwy. Strzały coraz bliższe: Kule świszczą w powietrzu. a stary Hilse nieruchomy siedzi przy krosnach. „Tu mnie ojciec niebieski posadził, tu pozostanę.“ Tkacze gradem kamieni odpowiedzieli na żołnierskie salwy. Wojsko się cofa, — po raz ostatni grają karabiny — i stary, niewinny Hilse, ugodzony w serce kulą śmiertelną, pada nieżywy na krosna swoje. A w dali okrzyk zwycięstwa rozbrzmiewa — tkacze tryumfują.

Oto szkic pobieżny Hauptmannowskiego utworu, — szkic tak chudy i blady jak szląscy paryasi. Chcąc go wypełnić ciałem i barwami, musiałbym znacznie rozszerzyć granice pracy tej zakreślone, — nie kusiłem się o miniaturę utworu, lecz jedynie o szkielet nagi, odsłaniający techniczną dojrzałość niemieckiego poety. Ekonomia dramatu. święcąca już w „Samotnych ludziach“ tryumf prawdziwy, wznosi się w „Tkaczach“ na wyżyny mistrzowstwa. Akcya rozwija się prawidłowo. namiętności tłumów rosną w pożar olbrzymi. każda scena porywa i magnetycznym węzłem łączy publiczność ze sceną. idea architektoniczna nie ginie w szczegółach ornamentacyjnych, kontury bohaterów nie rozpływają się w psychologicznych subtelnościach. Każda kreska jest rysem charakterystycznym, a wtedy rys potęguje plastykę postaci. Konwencyonalna estetyka mogłaby niezawodnie ze skarbnicy formułek swoich wytoczyć poważne zarzuty przeciw technice utworu, ale to rada trzeciorzędnego poety: „vestigia semper adora“. Talent twórczy sam nowe drogi estetyce wykreśla, sam tworzy prawidła artyzmu. Ramy uznanych teoryi za ciasne dla Hauptmannowskiej metody, ale twórczość zawsze wyprzedza teoryę i z nowej twórczości wyłoni się księga praw nowych.

Charakterystycznem znamieniem Hauptmannowskiego realizmu są długie komentarze załączone do każdego aktu. każdej nowej postaci i wszystkich rozwojowych lub kolorystycznych momentów dramatu. Oto mały wyjątek z wstępnej uwagi aktu drugiego: „Przez dwa małe. w części papierem zalepione i słomą wypchane okna po lewej stronie. płynie słabe, różowe światło wieczoru. Światło to pada na rozpuszczone biało-blond włosy dziewcząt, na ich nieubrane, chude ramiona i wązkie. woskowe plecy, na fałdy grubej koszuli stanowiącej obok krótkiej spódniczki z najtwardszego płótna ich jedyną odzież. Ciepłe tchnienie oświeca oblicze, szyję i piersi starej kobiety: oblicze wychudzone do szkieletu niemal, z fałdami i zmarszczkami na bezkrwistej skórze, z zapadniętemi. przy świetle zapalnie — czerwonemi i wodnistemi z powodu kurzu, dymu i pracy oczyma — szyja długa, wydęta, z fałdami i wyrazistemi ściągnami, — pierś wklęsła, owinięta w wyblakłe chusty i płaty“.

Ta zewnętrzna prawda to postulat realistycznej metody, a chociaż koryfeusze nowego kierunku, nie wyłączając Gerharta Hauptmanna, lubują się w drobiazgowości granic cej z krańcowym pedantyzmem, to trudno zaprzeczyć, że dążność ich potęguje przejrzystość sytuacyi, wyrazistość konturów i bezpośredność wrażenia. Koloratura psychologicznych momentów zyskuje w realiźmie zewnętrznym cennego sprzymierzeńca, bo nieme komentarze ludzkich sprzętów. ubiorów, fizyonomii, barw i żywiołów, tłomaczą nieraz takie tajniki ducha ludzkiego, których żywe nie określi słowo.

Z dramatu subtelnych wibracyi psychicznych. z rozdźwięku dusz miękkich. znużonych. z pajęczej przędzy nerwowej wznosi się Hauptmann powtórnie do dramatu o wielkim, społecznym zakroju i porwany diabolizmem rewolucyjnego przedświtu, roztacza przed nami piekielny obraz dymiącego wulkanu. Głód szlązkich tkaczów skowyczał nad kolebką jego. a wstrząśnienia obecnej doby przeczuciem burzy upoiły serce.

Ztąd się tłomaczy, że kamertonem lutni Hauptmanowskiej jest mimo woli wysokie C rewolucyjne. Nie przypisuję wzorem literackich prokuratorów apriorystycznych tendencyi agitacyjnych znakomitemu poecie, a głośny protest autora „Tkaczów“ z powodu wystawy utworu na prywatnych scenach berlińskiego socyalizmu, potwierdza stanowczo przekonanie moje, ale z drugiej strony zaprzeczyć nie mogę, że bunt pogwałconych praw człowieczeństwa lśni w Hauptmanowskim utworze blaskiem bohaterstwa, a rewolucya, występująca z piętnem konieczności i zbawienia na czole. płynie w tłumy szerokie dźwiękiem magnetycznej pokusy. Jakikolwiek jednak będzie sąd społeczno-polityczny o utworze wielkiego poety, dla mnie pozostanie on jedną z najpiękniejszych kart literatury niemieckiej — wspaniałym krzykiem miłosierdzia nad czeluścią nędzy, dziką, a w prostocie swojej potężną, muzyką namiętności ludzkich. Rewolucya tkaczom szlązkim zbawienia nie przyniosła. a czy z krwi posiewu kiedyś kwiat ogólnego szczęścia ludzkości wyrośnie, rozstrzygać nie mogę. Wiem tylko że są bóle na świecie. z których naturalnym rzeczy porządkiem rodzą się mściciele, wiem, że historya zapisała w księgach swoich krwawe rozruchy. których ze stanowiska e t y c z n e g o myśl humitarna potępić nie może.

*

Ostatnim utworom Hauptmana słów kilka tylko poświęcę. Żaden z nich nie wzniósł się na wyżyny „Tkaczy“ i żaden, oprócz „Hanusi“, nie odsłonił nowych tajników artystycznej duszy. „Kolega Kramptan“ to znowu analiza duszy miękkiej i chorej — po wielkiej orgii namiętności społecznych zjawia się przed nami szereg obrazków rodzajowych, cichy dramat artysty-

---

uczucie fundamentalne przeciw sobie. — chociażby tylko wskutek nieporozumienia — to twarde zaiste warunki.

Wiecie wszyscy przecież, czem jest norweskie uczucie narodowe. Jest to namiętność, — namiętność niekoniecznie skromna. Występuje ona chwilami wręcz wyzywająco. ale bądź, co bądź, jest to potęga. Oczywiście uczucie to, podobnie jak i duńskie, posiada deklamatorów swoich. Toż i w Norwegii stał się chwilami „Uldsock“ bohaterem narodowym.*) Ale zaufanie do własnych sił objawiające się w norwegskich dążeniach, to cenna rozwojowa potęga. Można z uśmiechem słuchać proroków deklamujących o misyi norwegskiej. marzących o zaprowadzeniu wieczystego pokoju wśród ludów wszechświata i t. d. — nie wszystko imponuje w norwegskich proroctwach, — ale nadmiar uczucia narodowego wzdał bądź co bądź żagle dorastającego pokolenia. a jak mówi przysłowie: Łatwo płynąć z pełnemi żaglami.

Ta okoliczność. że duńska lewica zmuszoną była ogłosić pokojowy, przyjacielski stosunek do Niemiec jako stanowczy warunek egzystencyi państwa, nastręczyła stronnictwu rządowemu sposobność zapanowania nad zbłąkanem uczuciem narodowem i przedstawienia siebie w charakterze stronnictwa narodowego, a lewicę jako stronnictwo pozbawione patryotyzmu i gardzące obroną Danii przeciw wrogom. Lewicy nie pomogła odpowiedź. że właśnie dotychczasową obronę za niepatryotyczną poczytać należy, ponieważ fortyfikacya Kopenhagi, pomijając jej bezprawność, mieści w sobie ryzyko sprowadzenia nieszczęścia i zguby na stolicę i Danją. Uczucie narodowe odznacza się od dawien dawna istotą wojenną. a właśnie stronnictwo rządowe zagrało pobudkę, apelując do męzkiej odwagi, miłości ojczyzny i standaru. Starano się o to, aby sztandar Danebroga wydrzeć lewicy, i wskutek tego znalazło się to pokolenie, które stanęło po stronie lewicy, w fałszywem położeniu wobec uczucia narodowego. Ludzie tego pokolenia zanadto byli ostrożni, aby przy każdej okoliczności grzmieć pustym okrzykiem: Niech żyje Danja! Usunięto ich zatem z wszystkich urzędowych stanowisk, na których naród swój reprezentować mogli, i nigdy, o ile wiem, nie otrzymał stronnik lewicy jakiegokolwiek mandatu reprezentowania Danii.

Niechaj się tem nie zrażają szermierze pokolenia tego. Nie wolno im zrezygnować z uczucia narodowego, chociaż uczucie to u prawicy zbłąkało się na manowce i w karykaturę wyrosło, — chociaż kilku socyalistów z kosmopolitycznych motywów walczy przeciw niemu i zapiera się narodowości. Prawica chciałaby przywłaszczyć sobie monopol tego uczucia — i mądrze działa prawica. Socyaliści przeciwdziałają mu niekiedy, — a zaiste mądrem to nie jest. Uczucie kosmopolityzmu nietylko rozwinąć się m o ż e na fundamencie uczucia narodowego, ale jest wręcz nienaturalnem bez niego. Można czuć się Skandynawczykiem, ale nie wyklucza to bynajmniej, aby przedewszystkiem nie czuć się Duńczykiem: anomalją byłoby czuć się mieszkańcem północy, a nie zdawać sobie przedewszystkiem sprawy z swej narodowości północnej. Podobnie uważać się można za Europejczyka lub kosmopolitę. lecz przedewszystkiem za Duńczyka.

Powiedziałem już, że pojęć naszych paczyć nie należy formami karykaturalnemi. Paweł Lindau opowiada, że Duńczyk pewien po obiedzie w Hotel d'Angleterre tak do niego mówił: „A teraz według dobrego, starego, d u ń s k i e g o zwyczaju wypijmy filiżankę kawy po deserze“. Takie dziwactwa przeszkodzić nie powinny pielęgnowaniu i piastowaniu uczucia narodowego jako uczucia fundamentalnego. Silne uczucie narodowe łączy i podnosi, a tego właśnie brak młodemu pokoleniu. W uczuciu narodowem tkwi główna przyczyna, że Norwegczycy i Szwedzi zdołali obecnie zwrócić na siebie

---

*) „Uldsock“ oznacza wełnianą skarpetkę. Jest to prawdopodobnie satyryczna aluzya do jednego z prezydentów Storthingu.

cznego indywidualizmu. muzyka nerwów starganych.

Krampton — to drobiazgowo wycieniowany typ fizycznego i moralnego bankruta, malarz bez atomu energii, niewolnik namiętności swoich; w artystycznej ruinie nie zamarło jeszcze serce i talent. fantazya cygana nurza się w tęczowym optymizmie, ale jest to dziecko bezsilne, które zmarniałoby w błocie, gdyby dobrzy ludzie nie przygarnęli go pod skrzydła swoje. Utwór sam zawiera ostrą satyrę na stosunki panujące w wrocławskiej akademii sztuk pięknych. gdzie fabrykują rzemieślników zamiast artystów, a łaska pedla stanowi główny warunek powodzenia. Budowa scen pojedyńczych i dokładny rysunek bohaterów jest godnym zaiste autora Tkaczów, a scena miłosna między Gertrudą i Maksem (Akt IV) to klejnot prawdziwy poezyi dramatycznej. Mimo to jednak razi miejscami atmosfera sztuczna i pedantyczne kreskowania typów. Balastem epizodycznym przeładowana. toczy się akcya ospale — zawiele wysiłku, szwy grube niekiedy i słowa bez końca. słowa — ciężary.

Świetną komedyą satyryczną jest przedostatnie dzieło Hauptmannowskie p. t. „Futro bobrowe". Eine Diebskomödie", — takiem mianem oznaczył poeta swój utwór. — ironiczy komentarz do historyi wyżłów politycznych, tresowanych w Bismarckowskiej szkole. Śmiechem przenikliwym odzywa się do nas satyra. a czasem humor jędrny i zdrowy ukazuje rumiane oblicze na tle przedmiejskich stosunków Berlina. „Futro bobrowe" wymaga jednak specyalnych aktorów. wyjątkowych talentów. komiczrych o lekkim ładowym zakroju. a takich artystów stolica niemiecka dostarczyć nie mogła poecie. I padła komedya znakomita tam. gdzie nieraz drugorzędni autorzy sceniczne święcili tryumfy.

Odmienne poniekąd rysy w artystycznej fizyonomii Hauptmanna odsłoniła przedziwna. mistycznem tchnieniem owiana fantazya „Hanusia". Żal mi w dwóch słowach zamknąć ocenę tego orginalnego pomysłu. w którym upatrywano stanowczą negacyą dawnego kierunku. a który mnie się wydaje tylko nową formą rozwojową starych pierwiastków. To też jako epilog studyum niniejszego poświęcę Hanusi niebawem dokładniejszą ocenę. a dziś na zazakończenie artykułów moich tyle tylko powiem. że ponurem pytaniem: Śmierć czy nienawiść? rozpoczął mistrz niemiecki działalność swoją. a chórem anielskim bezgranicznego miłosierdzia uwieńczył ostatni swój utwór.

Dr. Władysław Rabski.

Wiązanki literackie.

Macaulay: Szkice i Rozprawy. — B. Wilczyński: Historya muzyki.

Literatura nasza w pewnym okresie mniej więcej odpowiadającym młodości ojców naszych, lubowała się szczególniej w „średnich" wielkościach. Thiers i Guizot wśród pisarzy francuzkich byli wówczas wyroczniami, Macaulay wśród Anglików. Posiadamy też stosunkowo wiele przekładów tych autorów, a nawet nie odstręczyły wydawców dzieła wielotomowe. jak „Historya Anglii" Macaulaya (10 tomów. Warsz 1873—74).

Dziś zmieniły się nieco upodobania czy moda, a wydanie Szkiców i rozpraw tego pisarza. w doskonałym jak zwykle przekładzie St. Tarnowskiego można po części uważać za spóźnione nieco echa owych dawnych upodobań. Nie chcę przez to powiedzieć. iżby dzieło to było już przebrzmiałe, lub nie na czasie: z pewnem zastrzeżeniem gotów jestem zawsze uczcić pisarza tego talentu i takiej wyobraźni. jak znakomity historyk angielski. ale chcę jedynie zaznaczyć. że książka mało dogodzi obecnym wymaganiom i sympatyom czytelników.

Macaulay jest typowym „średnim" pisarzem: średni umysł i rzecznik średniego stanu. jest on pisarzem bezwątpienia utalentowanym i konsekwentnym przedstawicielem zasad liberalnych. Jest on istotnie rzecznikiem umiarkowanego. średniego mieszczaństwa. z jego upodobaniami. sympatyami i jego wiarą polityczną. Najlepiej scharakteryzujemy poglądy tego pisarza przy pomocy paru drobnych wyciągów. Tak mówiąc o wielkich bogactwach. nagromadzonych w pojedyńczych rękach w Rosyi i w Polce dodaje:

„Ale czy znajdzie się tam tyle co u nas majątków po dwa tysiące. po tysiąc funtów rocznego dochodu? Są w Anglii parafie. w których więcej się znajdzie ludzi. mających od trzechset do trzech tysięcy funtów na rok. jak we wszystkich posiadłościach cesarza Mikołaja. Same te wygodne i ładne domki. które w przeciągu ostatnich trzydziestu lat wzniosły się dla ludzi tej klasy w Londynie i jego okolicy. mogłyby założyć miasto większe od niejednej europejskiej stolicy" (str. 248).

Taki więc jest ideał społeczny Macaulaya, ilością przedstawicieli średniej zamożności, mierzy on dobrobyt państwa. W jakim zaś stopniu przywięzuje wagę do cnoty kardynalnej średniego stanu: porządku w rachunkach i oszczędności, świadczy o tem następujący ustęp: Mówiąc o dochodach i wydatkach Pitta dodaje autor: „Gdyby raz na tydzień chciał był poświęcić kwadrans czasu na zaprowadzenie ładu w domowem swojem gospodarstwie, byłby mógł ograniczyć swoje wydatki i utrzymać je w mierze. Albo, jeżeli nie mógł odłożyć na to ani kwadransu nawet, to miał przecież mnóstwo przyjaciół, ludzi bardzo rachunkowych, którzy z dumą byliby się podjęli marszałkowania jego domu. Jeden z nich, naczelnik wielkiego handlowego w City domu, próbował zaprowadzić ład w domowem gospodarstwie w Dawning Streett, ale probował daremnie. Służba, jak znalazł, marnowała bajeczne rzeczy. W rejestrach stało co tydzień dziewięćset funtów mięsa z jatek, a w stosunku do tego był wydatek na drób, ryby, herbatę i t. d. Charakter Pitta stałby niezawodnie wyżej, gdyby z taką jak Peryklesa lub De Witta pogardą pieniędzy łączył był godną ich skromność i oszczędność."

Zapewne, trzeba być wielkim zwolennikiem skromności i oszczędności, ażeby wyrzec te słowa; zapewne. trzeba być bałwochwalczym wielbicielem tych cnót, ażeby nie zapomnieć o zarzucie rozrzutności. wytykając grzechy człowieka, o którym tak powiedziano poprzednio:

„I ten człowiek. którego imię, gdyby na szczęście swoje umarł był w r. 1792, łączyłoby się dziś z pojęciami wolności, pokoju, miłości ludzi, umiarkowanych reform, rządów łagodnych i konstytucyjnych. żył dłużej na to, aby imię swoje połączyć z samowolnemi rządami z srogiemi i srogo wykonanemi prawami, z prawami o cudzoziemcach. z prawami ograniczającemi wolność mówienia, z zawieszeniem uchwały Habeas Corpus ze srogiemi karami na jednych z politycznych agitatorów i z najniesprawiedliwszymi procesami przeciwko innym, i z najkosztowniejszemi (!) najkrwawszemi wojnami nowszych czasów."

Wydany obecnie tom drugi Szkiców zawiera rozprawy o Pittcie. Mackinktoschu, Samuelu Jonsonie i Sousthеju. Pierwsza z nich już była dawniej wydana po polsku obok szkicu o Atterburym (Pitt i Atterbury przez Macaulaya. Warszawa 1864). Ostatnia wywołana jest przez pismo uwieńczonego poety o sławnym utopiście Morusie oraz o postępie i przyszłości społeczeństwa. W niej składa Macaulay dowody tego. jak niesprawiedliwym i sofistycznym umie być. gdy ma do czynienia ze zdaniami odbiegającemi daleko od jego własnych i kursujących w jego czasie, a zarazem jak mało zdolny jest wznieść się ponad poglądy klasy. której jest rzecznikiem.

* *

uwagę Europy. Oby nas znowu parło to uczucie!

Nie troszczcie się o ludzi mianujących młodzież i siebie samych dekadentami. Zaprowadźcie nowe stosunki. a skończy się dekadencya. Nie wierzcie w ów bezmyślny frazes: „Fin de siècle". W ostatnich latach ubiegłego stulecia przeszedł Bonaparte Alpy i dotarł do Piramid. Nikt nie był wonczas tak bezsilnym, aby uważać się za starego i przeżytego wraz z konającem stuleciem. Wszystko było młodem.

Naród pozostaje nietknięty na miejscu swojem i postępuje, jeżeli kulturę rozwinąć jest w stanie, i nie ma dla nas innego sposobu, aby zdobyć sobie znaczenie, oprócz jednego: Wytwarzać wartości. Mało nas. — to prawda — ale nic nam nie broni lepiej pisać, malować, lub grać od innych ludów. nic nam nie broni wskazywać im drogi kultury. których same nie znalazły.

(Dokończenie nastąpi.)

Z UPOMINKU.

KIEDY WIERZYĆ?

— Dla czego pani odwraca się tak zawzięcie od tej pary narzeczonych?

— Bo mi drażnią nerwy.

— Czemże? oboje młodzi. przystojni, zakochani...

— Właśnie dla tego; nie znoszę takiego zakochania i tych wszystkich manifestacyi, myślę, że można umrzeć z nudów lub oszaleć z rozdrażnienia, będąc ustawicznie pod kontrolą takich błogich, słodkich, rozpromienionych spojrzeń. Brr!

— Panna Stefanja jednak nie wydaje się bliską śmierci ani szaleństwa: rumieni się, uśmiecha i nawzajem rzuca spojrzenie błogie, słodkie, rozpromienione.

— Cóż pan chce! taka szesnastoletnia nowicjuszka, zaręczam panu, że oblała łzami wzruszenia chwilę oświadczyn i zasuszyła w pamiętniku kwiatek, który dnia tego miała we włosach.

— Co podług pani zapewnie jest zbrodnią, wołającą o pomstę do Pana Boga...

Ton pana Zygmunta był żartobliwy, ale, wymawiając ostatnie słowa, spojrzał w oczy swej towarzyszki poważnie, przenikliwie. jak gdyby chciał wyczytać coś w tych czarnych źrenicach, które z pod długich rzęs patrzyły na świat z jednakową zawsze obojętnością i jakby lekceważeniem.

— Zbrodnią? nie. ale śmiesznością, bo się równa, podług mnie, oświadczynom na klęczkach u mężczyzny.

— Ach, więc klękanie także potępia się stanowczo. Czy nie byłaby pani tak dobrą powiedzieć mi, jaki sposób oświadczania się jest podług pani najodpowiedniejszy?

— Wszystko jedno, byle bez wykrzykników: „Mam dla pani szacunek i sympatją, stosunki nasze materyalne pozwalają nam się połączyć: czy przystajesz pani?" i — koniec. Cegóż tu więcej potrzeba?

— Niczego rzeczywiście: kwestja postawiona nadzwyczaj jasno. Choć pani nie wymienia właściwie przyczyn, dla których z rozmowy takiej mają być wykluczone wykrzykniki i klękania?

— Bo w błąd wprowadzają. Niech pan sam powie, czy my kiedykolwiek w późniejszem życiu widujemy panów na klęczkach? dlaczego zaraz w pierwszej chwili łudzić nas?

— Pani jak widzę, postanowiła nie dać się już złudzić?

Klara uśmiechnęła się trochę gorzko.

Historya muzyki jest jednym z odłamów historyi cywilizacyi i jako taka zasługuje na uwagę nietylko muzyków. Wdzięczna i bogata dziedzina tonów, w której najmniej związane formami materyalnemi, bo pozbawione nawet rozciągłości i kształtu przemawia do nas duchowe piękno, godna jest zastanowienia się zarówno ze strony filozofa lub psychologa, jak i ze strony estetyka lub historyka. Tymczasem zwykle muzyka (a u nas szczególniej) jest uprawiana jako rodzaj sportu, pozbawionego wszelkiej łączności z żywiołami myślowemi. Można spotkać kobiety poprawnie grające Chopina lub Liszta, które jednak nietylko o zasadach harmonii i teoryi form muzycznych nie mają najmniejszego pojęcia (że już pominę estetykę dźwięków), ale nie znają bliżej ani współczesnej ani dawniejszej literatury swego instrumentu i dał im nauczyciel w szkole Beethowena lub Mozarta — więc wiedzę, że byli tacy, że pisali sonaty na fortepian — po za tem nic. Co to byli za ludzie? W jakim czasie żyli? Jakie warunki dziejowe oddziaływały na ich twórczość? Jakie uczucia osobiste lub nieosobiste odbiły się w ich dziełach? — Tych pytań nie zadają sobie 99 na sto grających. A czyż odpowiedź na nie nie przyczyniłaby się już chociażby do lepszego zrozumienia i oddania ich utworów? Czyż kształcące ogólno-ludzkie znaczenie, które ma historya poezyi, nie mogłoby stać się udziałem muzyki, gdyby wychowanie domowe nie usiłowało zrobić z niej tylko jednego z licznych magnesów, przeznaczonych do oddziaływania na serca czy zmysły epuzerów?

Jak mało bierze się pod uwagę samą sztukę i jej nieco poważniejsze traktowanie, dowodem tego, że od czasu wydania „H i s t o r y i m u z y k i“ Brendla w r. 1866, dopiero drugi również krótki podręcznik wychodzi z pod prasy, kiedy znajomość fortepianu uważana jest prawie za niezbędny pierwiastek wykształcenia i dobrego tonu.

Książeczka p. B. W i l c z y ń s k i e g o nie jest dziełem oryginalnem; przyznaje w przedmowie autor, że jest ułożone podług Reismanna i Marcillaca. Nie zmniejsza to jednak wartości jej dla naszych czytelników i czytelniczek. W szczupłym tomiku, obejmującym 274 str. znajdujemy nietylko ważniejsze wiadomości z historyi muzyki, powiązanej w całość jednolitą, ale i przedstawienie związku pomiędzy rozwojem muzyki a poezyi, oraz innych sztuk pięknych i wogóle zaznaczenie kulturalnych oddziaływań na rozwój sztuki tonów; nie są pominięte i techniczne jej warunki, jak rozwój skali muzycznej, pisma nutowego, muzyki instrumentalnej i t. d. Udało się to uczynić dzięki zastosowaniu trafnej a często zaniedbywanej w takich krótkich podręcznikach metody, zatrzymywania się tylko na zjawiskach typowych, twórcach oryginalnych, z pominięciem niepotrzebnego balastu imion drugo- i trzeciorzędnych.

Zwracamy uwagę na rozdział o wpływie pieśni świeckiej na rozwój współczesnej muzyki, oraz na te ustępy, w których wyświetla się znaczenie Glucka, Haendla, Bacha, Haydna, Mozarta, Beethovena, nie mniej i na rozdziały o współczesnej muzyce (ciekawe kartki poświęcone są Gounodowi i Wagnerowi). Historya muzyki w Polsce stanowi przedmiot osobnego rozdziału.

Jako przykład sposobu wykładu przytaczamy ustęp o S c h u m a n n i e:

„S c h u m a n n należał do liczby tej młodzieży niemieckiej, której uczucia miały siedlisko raczej w głowie rozpalonej, niż w sercu. W wielu utworach jego znać znikanie wątku co jak meteor zabłysnął prześlicznemi światłami i zgasł, lub skrzywił się dla braku siły. Z jego kompozycyi fortepianowych największą wartość mają te, które tworzył pod wpływem poezyi miłosnej. Kochał on prawdziwie Klarę Wieck, a że starać się o nią musiał długo, ztąd na epopeję sercową złożyła się spora liczba utworów, jak „K r e i s l e r i a n a“, „N o v e l e t t y“, „T a ń c e D a w i d z i s t ó w“, K o n c e r t i S o n a t a G - m i n o r.“

Po trzydziestym roku życia kompozytor-fortepianista staje się mistrzem orkiestry i chórów. Zapatrzony dotąd na S z u b e r t a, poeta i pieśniarz obiera sobie Beethovena za przewodnika... i t. d.

A oto charakterystyka jego stylu:

„Styl Schumanna jest wyszukany, arystokratyczny, jak styl wszystkich romantyków, których umysł nie jest w stanie objąć ideału i za pomocą wyrazów prostych uwydatnić jego majestatu duchowego. Ztąd niewytrzymałość geniuszu wobec organicznych zadań sztuki, ztąd twórczość drobiazgowa, zdobywająca się na luźne obrazki, ztąd też wygórowanie stylu, którem Schumann okupuje zwięzłość dawniejszej formy klasycznej. Wszakże pomiędzy drobiazgami mistrza wykształcony słuchacz znajduje niezmiernie cenne klejnoty. Kompozytor czy to przedstawia sceny z życia dziecięcego, lub szkicuje muzykę lasów, czy daje galeryą portretów w maskach karnawałowych, lub wzywa do marzeń wieczornych, zawsze jest poetą o tyle sympatycznym, o ile upiększa codzienność i umie rzeczom spowszedniałym nadać urok niezwykły.“

W. M. Kozłowski.

Przy szumie drzew.

Z cyklu „Miłość“.

(Ciąg dalszy.)

Na mchach milczący siedzieliśmy razem...
Od brzegów lasu przez wyrąb szeroki,
Od pól rozległych, falujących świeżo
Wykłoszonemi zbożami, skąpanych
W aromatycznej kąpieli rzepików,
Osianych puchem złocistym, przypłynął
Wiatr zleniwiały ku naszej polanie.
I naprzód cicho ruszyły się trawy;
Storczyki, wnet się zbudziwszy z zadumy,
Chwiały hełmami; zgięła się konwalja
I liść poziomki mchy rozpoczął głaskać;
Biedrzeniec skronie ocierał o twarde
Gałęzie dzikiej krzewiny: paprocie
Strząsnęły resztki brylantowej rosy;
Jaskier swe lica odwracał od słońca,
Giął je do kolan, to je znów podnosił,
Jak zadąsany: nawet mlecz i srebrnik
I gwiazdkowata stokroć, choć się zdają
Niby przypięte z łodyżką i liściem
I razem z kwieciem do ziemi, zadrgnęły,
I krzaki głogów, wyrosłe na miedzy,
Która oddziela bór od plonnej niwy,
Jęły tu owdzie rozrzucać przestałe,
Bladoróżowe płatki z swej korony.
Powoli wiew się przedarł ku wierzchołkom
I jedno drzewo zaczęło drugiemu
Podawać dziwne akordy prastarej,
Utraconego raju tajemniczem echem
Będącej pieśni, ze słów ułożonej,
Co pozostały z języka praświata,
Ludziom dzisiejszym nieuchwytne dźwięki,
Lecz zrozumiałe dla duszy poety.
Szum wszczął się w klonie, w którego okole
Spoczywaliśmy: zaszeleścił starzec
I urwał naraz, jak gdyby w fałszywą
Uderzył strunę, potem znów potrącił
W lutnię runiczną i głosem stłumionym
Jął wyśpiewywać przedwieczne rapsody.
Ton pochwyciła lipa, naśladując
Pomruki górskich potoków, a za nią
W trop pospieszyli inni towarzysze.
Od wieków jednem ogrzewani światłem
I jedne burze znoszący: jawory,
Buki i graby, a nawet gromada
Zbłąkanych świerków, które oblepiły
Pasożytnicze, niby pleśń, jestestwa.
Patrząc na klony i na graby stare,
Na rozłożyste jawory i buki,
Na lipę wonną i na świerki siwe,
Mógłeś z początku odróżnić dokładnie
Które z nich szumią, a które szeleszczą,
Które z nich szemrzą, lub szepcą, lub mruczą.
Ze zamkniętemi wsłuchany oczyma
W te różnorodne akordy, sądziłbyś,
Że gdzieś tam w sferach, do których w niezwykłych
Snach ulatuje uwięziony w glinie
Ziemskiego bytu, lecz na chwilę z więzów
Wyswobodzony duch ludzki, narzędzia
Stroją muzyczne jacyś mistrze tonów,
Śród gwiazd zrodzeni, i że na ten padół
Przypełzły echa ich dźwięków. Niebawem

— Nie moja wina... jeśli pan chce wzdychać na temat miłości, wspominając woń róż, śpiew słowików, błękit nieba i wszystkie dekoracye zużywane i nicowane przez poetów, to nie trzeba się z tą rozmową udawać do byłej rozwódki, a dziś wdowy, dla której „Veni Creator“ nie jest już znakiem zapytania, sięgającym gdzieś w siódme niebo.

Umilkła; blade zazwyczaj jej policzki zarumieniły się żywo i usta drżały, gdy domawiała ostatnich słów, siląc się na głos swobodny.

On nie odwracał od niej spojrzenia i ręka jego wyciągnęła się mimowolnie, jakby chciał ująć i utulić w ciepłym uścisku te drobne paluszki, szarpiące tak niespokojnie złoty brelok bransoletki.

— Pani pamięta jeszcze? — szepnął nieśmiało, ale tak jakoś chciwie, jak gdyby wszystkiemi siłami duszy pragnął wyrwać jej z serca szczerą, prawdziwą odpowiedź na te dwa słowa.

Klara dumnie podniosła główkę i lekceważący uśmiech powrócił znowu na usta.

— Pamiętam — cóż z tego? Niechże pan tylko nie poczuwa się do obowiązku ubolewania nademną. Pamiętam, bo nie w mocy mojej zapomnieć, bo mam pamięć tak doskonałą, że wszystkie daty z wojen perskich i punickich tkwią w niej jak przybite ćwiekami; tembardziej więc historja mego własnego życia nie chce „zatonąć w zapomnienia fali“, ale zaręczam panu, że mi z tem bardzo dobrze.

— Tak dobrze, że nie zgodziłaby się pani na żadną zmianę?

— O czem pan chce mówić?

— O drugiem zamążpójściu.

— Ja... nie rozumiem pana.

Nie rozumiała, ale jednak żywy rumieniec oblał jej twarz i w oczach, zamiast wiekuistego uśmiechu, zjawiła się iskierka jakaś, jeszcze drżąca, zamglona, ale rzucająca na całą twarz czarujący odblask wzruszenia i niepewności..

Zygmunt przez chwilę patrzał na nią w milczeniu i usta otwierał kilkakrotnie, jak gdyby nie wiedział, jakiemi słowami się odezwać: nareszcie przemówił.

— Wytłomaczę się pani w krótkich słowach: jeżeli odzyskana przed rokiem wolność nie jest pani tak drogą, żebyś się jej wyrzec nie mogła, to oddaj mi pani swą rękę; proszę o nią i obiecuję robić co będzie w mej mocy, ażeby pani nie żałowała tego kroku.

Mówił dość prędko, ale spokojnie; głos jego nie zadrżał ani razu i oczy patrzyły teraz prosto w twarz pani Klary spojrzeniem pewnem i poważnem, bez goręcszych odbłysków. A jednak za każdem jego słowem policzki Klary bladły coraz to mocniej i na czole jej zbierała się chmura gotowa wybuchnąć piorunami gromadzącemi się już jak błyskawice w ciemnych jej źrenicach.

— Moja wolność jest mi rzeczywiście bardzo drogą — odparła gwałtownie — wątpię, ażebym mogła w drugiem małżeństwie znaleść szczęście lub przynieść je komu: więc czy to bezpiecznie dla nas obojga narażać się na taką próbę?... i niech mi pan powie, po co właściwie łączyć się mamy? po co?!...

W głosie jej, oprócz widocznego rozdrażnienia, drgała ciekawość gorąca jakaś, błagalna etóra rozbijała się o chłodny spokój Zygmunta kk kawałek kryształu, rzucony o kamienną jaarczę.

— Po co? ażeby żyć razem. Pani wątpi, czy damy sobie szczęście? ja jestem tego prawie pewny. Znamy się już tak dawno, usposobienia nasze odpowiadają sobie; ja mam dla pani najwyższy szacunek: co do sympatyi!...

— Co do sympatyi, wiem już, wiem, co mi pan powie: obecność moja nie sprawia panu przykrości i nawet podejmuje się pan znosić ją do końca życia, ale ja nie przystaję na ten układ, ja nie chcę zawierać spółki, której dodatnie strony składa pan na szali życia drobne jak ziarnka maku, a kto wie jakie będą ujemne?... Pan ma dla mnie najwyższy szacunek... ale to dla mnie ciężar tylko, który dźwigać będę musiała jak żelazną koronę ugniatającą i ziębiącą mi czoło: nie rozsieje ona słonecznych blasków

Ten szum i szelest, szmer i szept i pomruk
Zlał się w harmonii przepełną melodyę.
Głucho płynącą nad naszemi głowy,
Jakby tam w górze daleko, daleko,
Nie drgały bryłki powietrza, lecz jakieś
Olbrzymie morze toczyło powoli
Ciężkie swe fale...

* * *

Miczący oboje
Spoczywaliśmy pośród mchów... Las szumiał,
A szumy jego wnikały powoli
W wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom
Zdawał się zmieniać w milionową cząstkę
Jakiejś symfonii i zlewać się razem
Z szumem, szelestem, pomrukiem i szeptem
Drzew, konarami chwiejących nademną.
I tajemnicze przejęły mię dreszcze...
I wnet uczułem, że szumiące drzewa
Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.
I zdało mi się, że powoli tracę
Jednę za drugą cechy człowieczeństwa.....
Chciałem się bronić... naprożno! Od władz tych,
Które się gnieżdżą w mózgu — nie! w ramionach.
We wyprężonych do oporu piersiach,
Była silniejszą potęga, idąca
Z onych wierzchołków i całą mą postać
Ogarniająca swą dziwną muzyką.
Słodką a straszną... Doznałem wrażenia,
Żem się przedzierżgnął w jeden z tych jaworów,
Buków czy klonów lub świerków, a potem,
Że ci liściami naodziani boru
Tego mieszkańce zrośli się w olbrzymie
Jakieś pradrzewo, rozparli tę nikłą
Uwięź cielesną, która już nie gnietła,
I mą prawdziwą stali się istotą.
Nie umiem dzisiaj powiedzieć, jak długo
Trwał stan niezwykły — być może sekundę
Według obliczeń chłodnego rozumu:
Mnie się zdawało, że bezmiar wieczności
Wypełniam swemi konary... Powoli
Ludzkiego bytu wracała świadomość;
Powoli-m zaczął uczuwać ten ciężar
Znikomej gliny, z której niepiono
Ten grzbiet, te stopy, te nasze ramiona...
Powolim zaczął ludzkiemi oczyma
Rozróżniać klony i buki i świerki.
Lecz duch, wykąpan przed chwilą w przedwiecznych
Falach, nie umiał otrząsnąć od razu
Wszystkich kropelek, co na jego skrzydłach
Zostały z owej kąpieli, tajemnie
Lśniąc się blaskami nieznanych dziś pereł.
W jakiś się dziwny jęły amalgamat
Zlewać dwa stany: dawna, dawna przeszłość
I teraźniejszość... Obrazy przedemną,
Bytem, odzianym ciężką, ludzką gliną,
Zaczęły wstawać z niedzisiejszej doby.
A jednak w żywem do niej podobieństwie,
Jakby nie było między tem, co przeszło,
A tem, co dziś jest, najmniejszej różnicy.
Zdawało mi się, że ja to przed wieki
Z liści bukowych uplotłem odzienie.
Ażeby nakryć swą nagość występną.
I że mnie wygnał płomienistym mieczem
Boży archanioł za bramy Ogrodu,
I że w tym szumie ściga mnie wspomnienie
Pobytu w Raju... I wszystkie męczarnie,
I wszystkie trudy, jakie przebył Adam,
Syn ziemi, walcząc z dzikiemi potwory,
Które mu twardą tamowały drogę,
Gdy ku wschodowi podążał, ku słońcu,
Dawcy światłości, ciepła i owoców —
Wszystkie te jego ciężary mnie gniotły...
Oślizłe węże, co z sykiem owijać
Nie przestawały swem cielskiem mych kolan
I moich piersi i szyji wygiętej,
Wilgnemi żądły aż do warg sięgając,
Zdzierałem ręką, drżącą od zmęczenia.
I na mej dłoni uczułem pęcherze
Od wyrywania chwastów i korzeni
I od łamania konarów, by sobie
Przez niedostępną gęstwinę, okrytą
Czarnemi zmroki, utorować wyjście
Na łan świetlany. I ze skroni bladej
Jąłem ocierać zimny pot, co spływał
Hojnym strumieniem, kiedym ja, praczłowiek,
Adam, syn ziemi, rozbijał rydlicą
Grudy kamienne, albo orał pługiem
Twarde opoki, aby z nich wydobyć
Czarny kęs chleba...

* * *

I potem mi było,
Jakbym Kaina piętno miał na czole,
Bo bez spokoju dążę i spoczynku,
Sam nie wiem dokąd — może, aby zabić
Wspomnienie zbrodni, której nie spełniłem,
A którą przecież — tak mi się zdawało —
Umiałbym spełnić, czy też aby znaleźć
Nieznane szczęście w ziemi Nod, na wschodzie
Od wrót edenskich.... I jąłem wyrzucać
Złowrogim losom, że mi snać zabrały
Prawo do niego — do owego szczęścia,
Które powinno być udziałem człeka,
Jeżeli może być udziałem kwiatu —
Tego biedrzeńca, co z zarośli szydzi
Z mojego losu, tych niebieskich dzwonków,
Na dnie kielicha swojego kryjących
Miód dla — owadu, i tych mleczów złotych
I tych nieznacznych srebrników,
I tych stokrotek i tej róży dzikiej,
Co mnie ogłusza swą wonią....

Jan Kasprowicz.

(Dokończenie nastąpi).

NA WYŁOMIE.

(Pragnienie śmierci. Nekrologi. Otrzeźwiałem. Lwowska owacya dla Sulli.)

Lipcowa kanikuła nie ima się mózgu mojego — djabliki nerwowych zaburzeń, przerażone widmem Kneippowskich tusz, strzykań i polewań, pochowały się w czeluściach piekielnych, — „ona“ nie zdradziła biednego Sulli — teściowa nie zawitała na letnie mieszkanie pod strzechę jego, a mimo to wasz gawędziarz, czytelnicy mili, czuje niekiedy dziwne śmierci pragnienie. Uśmiechacie się... Podobno ktoś na stryczku zawiesił zrozpaczone cielsko, gdy żona jego trojęta powiła... Nie! nie! przysięgam: Bóg miłościwy oszczędził mi tak ciężkich gromów, a jeżeli wzdycham za piekłem, niebem, czy też Nirwaną, to winne temu poznańskie nekrologi.

Któż to powiedział, że wielcy ludzie już wymarli u nas, że pustkami stoi Panteon poznański? Spytajcie dziennikarskich grabarzy, a o wielkopolskich bohaterach dziwy usłyszycie. Umiera sobie np. jaki pan — wicz lub — ski. Wiecie, że orał ziemię ojców swoich, lubił węgrzyna i konie, dwa razy w życiu przeczytał coś z „Poradnika gospodarskiego“ lub „Ziemianina“ okolicznym włościanom, palił mówki na obiadach Mosterdzieju, że to ha! i kwita. Nagle przynosi wam posłaniec wielką bibułę, nazwaną Dziennikiem lub Kuryerem. Co to jest? Krzyż na pierwszej kolumnie. Umarł bohater filantrop, patryota, słynny agronom, wzorowy ojciec, „naczynie dziwnego nabożeństwa“, „wieża z kości słoniowej“, — umarł świecznik społeczeństwa. I nie dość na tem. Grabarz poznański mistrzowską dłonią rysuje drzewo genealogiczne: Abraham zrodził Izaaka, Izaak zrodził Jakóba, Jakób zrydził Judę i braci jego, Juda zrodził Faresa i Zarę z Tamary — pozwólcie, odsapnę, tchu mi już brakaje.

Pamiętam... literatura nasza straciła ulubionego śpiewaka — poświęcono mu feljeton, następnie krótką notatkę o pogrzebie i koniec. W kilka tygodni później umiera zacny zresztą obywatel, ale ot! sobie szara ptaszyna bez orlich skrzydeł, skromna jednostka, której zasługi nie sięgały po za rogatki rodziny i kilku drobnych instytucyi filantropijnych. Należał on jednak do „towarzystwa“ — więc dalej: Grajcie bębny i puzony! Przedewszystkiem uwertura opery pogrzebowej: Lament, wyliczanie zasług drobiazgowych i głośna łza chrześciańska. Pierwszą stronnicę dziennika zdobi dwułamowy nekrolog. Dzień drugi: Na 3 kolumnie „poważnego organu“ pojawia się olbrzymia genealogia — od Abrahama do Matana, Jakóba i Józefa. Dzień trzeci: Opis eksporty. Kto był, kto kwiaty rzucał, kto

---

na nasze wspólne życie, nie ubarwi nam ani jednej chwilki szarej i smutnej.

— Więc pani odmawia?...

— Odrzucam propozycyą pana — ten wspólny „interes“ nie wydaje mi się dla żadnego z nas korzystnym.

— Szkoda...

Nie powiedział nic więcej... i to jedno słowo nawet wybiegło mu na usta, jakby mimowoli razem ze spojrzeniem smutnem, które spotkawszy się z oczyma Klary, wsunęło się prędko po jej twarzy i uciekło gdzieś w dal.

— Szkoda? dlaczego? gdy żadne z nas nie zaryzykowało jeszcze swojej stawki... cofamy się w porę.

— Myli się pani: ja zaryzykowałem pierwsze i ostatnie marzenie mego życia: zaryzykowałem serce, które dziewczynką jeszcze zdobyłaś pani jednem spojrzeniem, kilku serdecznemi słowami i uściśnieniem ręki... Gdy nas życie rozdzieliło, długo nosiłem się w duszy z tem wspomnieniem, jak z relikwią, obok której nie śmiałem postawić w sercu żadnej już innej postaci. Wspomnienie to nie bladło: wieści o postępowaniu męża pani, o rozpoczętym procesie rozwodowym, rzuciły na nie nowy blask nadziei. Przez wszystkie te lata, choć oddalony, kochałem panią każdą myślą, każdem uderzeniem serca.

— Pan?!...

— Ja... Wiem, że pani uśmiechnie się na to z lekceważeniem: miłość, gdy nie budzi echa we własnem sercu, jest zawsze dla wszystkich tylko pustym dźwiękiem, dla pani gorzej jeszcze — dziecińSstwem, śmiesznością... przysięgałem sobie tysiąc razy, że nie wystawię mego uczucia pod krytyczny przegląd pani: ale dziś już mi to wszystko jedno i tak za chwilę usunę się z przed oczu pani może na zawsze. W tej ostatniej chwili z dumą podnoszę głowę i przyznaję się, iż jestem taki śmieszny, że panią kocham, że mam łzy w oczach na myśl o rozłączeniu, że gotówbym uklęknąć i prosić o odwołanie tego słowa, choć wiem, że pani dla klęczących ma tylko litośne wzruszenie ramion.

— Panie Zygmuncie!...

Obie jej ręce wyciągnęły się ku niemu błagalnie, jak gdyby powstrzymać chciały na jego ustach ten potok słów raniących i gorzkich, oczy zalśniły się blaskiem wilgotnym, a gorącym, ale on w tej chwili nic nie widział i nie słyszał oprócz echa własnych słów, któremi wyrzucał z serca ciężar gniotący je przez lat tyle.

— Patrz pani, poniżę się zupełnie w jéj oczach — zawołał nagle, wyjmując z bocznej kieszeni ubrania drobny, w białą bibułę owinięty przedmiot — czy pani poznaje ten kwiat?.. pierwszą różę, którą pani wpięto we włosy, gdy skończyłaś lat siedemnaście... Zgubiłaś ją pani, a ja podniosłem i schowałem... Nic dziwnego, byłem nowicjuszem, mającym lat dwadzieścia, i pani także byłabyś może wtenczas oblała łzami miłosne oświadczyny, ale dziś jesteś już osobą mądrą i poważną, a ja pozostałem takim szaleńcem, że różę tę dotąd nosiłem na piersi... Oddaję ją pani jako hołd dla jej rozsądku i wyższości umysłowej, jak rozdarty projekt tej „spółki“, którą pani odrzuciłaś tak pogardliwie.

— Och, panie Zygmuncie, nie chcę, nie chcę, zatrzymaj pan ten kwiat! nie zrozumieliśmy się oboje. Pan, ofiarując mi złoto, wmawiałeś we mnie, że podajesz mi tylko miedzianą zdawkową monetę, ja odtrąciłam ją, bo wierzyłam, że dajesz mi tak mało, a pragnęłam posiąść wszystko.

— I oddać w zamian?...

— Wszystko także.

Tym razem ręce ich spoiły się naprawdę długim gorącym uściskiem i oczy zatonęły w sobie, szukając potwierdzenia tej prawdy, w którą oboje uwierzyć jeszcze nie śmieli.

— Kocham panią — wyszeptał Zygmunt — dlaczego nie powiedziałem ci tego już dawno? A dla czego pani swoim obojętnym uśmiechem wstrzymywałaś mi to słowo na ustach przez rok cały?

Klara spuściła głowę.

— Nie wiedziałam, że to tak brzmi — rzekła cicho — bałam się, żeby mnie świat nie posądził o zawiedzioną miłość i nie obarczył litością. Dlatego wmawiałam w siebie i drugich, że lekceważę sobie to, co stanowi całą treść, całe szczęście życia.

— Wmawiałaś pani tak zawzięcie: czyż ja mógłem jej nie wierzyć?...

Klara uśmiechnęła się.

— Widać, że pozostałeś pan do dziś dnia niedoświadczonym nowicjuszem; my kobiety mówimy tysiące rzeczy umyślnie po to tylko, aby nam nie wierzono.

Nagoda.

śpiewał, z jakiego materyału trumna, ile koni przy karawanie i t. d. półtora łama gęstego druku. Dzień czwarty: Opis pogrzebu. Mowy drukują się in extenso, dziennikarski reporter zmienia się w artystę i mówi o słońcu we łzach skąpanem, o Niobie, Laokonie, strasznej pustce pośmiertnej i głuchym łoskocie ziemi padającej na trumnę. Dzień piąty: Pokłosie — dokończenie mów pogrzebowych i zapomniane w ponurej żałobie szczegóły. Summa summarum: Około dziesięciu łamów poświęcono przeciętnej figurze prowincyonalnej i w Panteonie poznańskim duma nowy bohater narodu.

Czyż zatem dziwić się możecie, że w duszy mojej budzi się śmierci pragnienie. Za życia nie szczędzono mi gorzkich pigułek, a po śmierci... Boże! na samą myśl o tych bakaliach ślinka do ust idzie. Może dowiedziałbym się o słynnych praszczurach i koligacyach, może usłyszałbym bęben reklamy pośmiertnej, może zakradłszy się w postaci ducha do redakcyi naszych dzienników wyczytałbym ów piramidalny nekrolog: „Z szeregu dzielnych szermierzy narodowych znów śmierć nieubłagana jednego z najlegszych zabrała. Pada filar po filarze, kolumna po kolumnie...“ Słyszycie? Czy to nie pięknie umierać?

A jednak... jednak najmilsi „Każdaja ricz maje swoju szatenzajtu“

Gdy tak rozmyślam i medytuję nad Wagnerowskiem nocturno dziennikarskich grabarzy, powstają we mnie wątpliwości pewne i pistolet nabity wraca spokojnie do futerału. Zamiast słodkiej muzyki nekrologów przeczuwam ciszę posępną, zamiast cukierków — piołuny. Jest bowiem na poznańskiej ziemi jeden warunek pośmiertnego rozgłosu, a w państwie białego cara na imię mu: Błagonadjożnost. Czarujące słowo! Podobno pewien rzeźbiarz rosyjski wykuł w bronzie olbrzymiego wołu z jarzmem na karku i wyrył na piersiach cennego dostarczyciela wołowiny magiczny ten wyraz. Przejechał się nieborak do sybirskich kaźni, a dzieło jego spoczęło w policyjnej Camera obscura wraz z resztkami bomb, sztyletów i piekielnych machin. Głupiec! W trzy lata później zjawił się inny rosyjski Canova, i zamieniwszy blok twardego marmuru w piękną Cererę z rogiem obfitości w ręku, skreślił u stóp pomnika potężne słowo: Błagonadjożnost. Obsypano go złotem, a rzeźba jago zdobi podobno ku nauce ludu honorową salę Eremitażu.

Boże litościwy! Czemu ty stempla „błagonadjożnosti“ (czytaj po polsku: „ludzi, ładu i porządku“ nie wycisnąłeś na czole mojem? Czemu zgraja tych pospolitych warchołów, których jakiś narwany poeta ochrzcił podobno „Tytanów“ imieniem, wykarmiła mnie przeklętem mlekiem? Otóż dźwigam teraz wśród gradu kamieni taczkę moją, a po śmierci nikt muzyką słodkich nekrologów pieścić nie będzie warcholskiego ducha. Huczy w bibułach wielkich orkiestra pogrzebowa, gdy lada chłystek z bractwa „ładu i porządku“ przeniesie się na łono Abrahama, lecz tobie, warchole, zagrają chyba owe piękne instrumenta, które pamiętasz ze studenckich czasów: Kikeriki! Wau! Wau! Wau!

Nie!... to chwilowe złudzenie wzbudziło we mnie fałszywy śmierci apetyt, — umierać w moich warunkach to rzecz stanowczo ryzykowna. Dziś mianowicie pragnę życia jeszcze — dziś gdy we Lwowie gotują dla Sulli wspaniałe owacye. Jest to wprawdzie dotychczas tajemnica, ale przed wami, czytelnicy, ja żadnych nie mam sekretów. Powiem wam zatem na ucho, że dowiedziawszy się o wiedeńskiej manifestacyi na cześć pana Kościelskiego i politycznej uczcie u księcia Sapiehy, na której tak „dyplomatycznie“ przemawiał wiceprezes Koła polskiego, postanowiłem urządzić kontrhupkę. Napisałem tedy do lwowskich przyjaciół list następującej treści:

„Bracia - warchoły! Na wielką komedyę lojalistów naszych, urządzoną przy pomocy galicyjskich Stańczyków we Wiedniu i Lwowie, trzeba odpowiedzieć manifestacyą opozycyjną. Warchoły! klin klinem wybijmy. Przyjeżdżam do Lwowa — wy urządźcie ucztę — ja palnę mówkę, — dzienniki zrobią swoje — i górą nasi!

Wasz

Sulla.“

W trzy dni później odebrałem telegram następujący:

„All right! Biba będzie! Korowód z pochodniami! Toasty!“

Otrzymawszy taką depeszę zabrałem się natychmiast do fabrykacyi mowy i studyuję obecnie w lustrze mimikę oratorską. Ułożyłem już kilka prześlicznych ustępów, a jeden z nich mianowicie podziałać musi jak piorun. Słuchajcie! Wyciągam rękę, głos mój huczy jak orkan, ściany się trzęsą: „Panowie! Mowiono wam na książęcej uczcie, że polityka nie jest matematyką, że często polityczna kombinacya wykazuje cyfrę „10“, a rezultat rzeczywisty równa się liczbie „3“, — być może! ale znam jeden pewnik niezbity i nieomylny: Ponieważ lojalizm poznański jest wielką bezustanną omyłką, ponieważ każda z zdobyczy jego nie „trzem“ lecz „zeru“ się równa, ponieważ straszne minus moralne figuruje w „debet“ stronnictwa ugodowego, zatem przedstawiciele prądów fałszywych runąć muszą prędzej czy później. To więcej jak prawdopodobieństwo, to pewnik matematyczny.“

Grzmią oklaski jak burza, bracia warchoły ślinią mi oba policzki, czescy przyjaciele krzyczą mi: „Na zdar! At žiju Polaki!“ mianują mnie członkiem honorowym siedmiu związków narodowych, a dzienniki opozycyjne rozpisują się o wielkim pogromcy lojalizmu poznańskiego, — „trucizny narodu“. Wprawdzie „Dziennik“ i „Kuryer“ błotem mnie obrzucą i po śmierci nie zaszczycą tamtamem reklamy — ale mniejsza o to! Kwituję z nekrologów i urządzam hupkę.

Sulla.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z WYSTAWY.

IV.

Sprawa przemysłu, zwłaszcza wielkiego w Galicyi — zajmuje w chwili obecnej nie mało opinią publiczną. Są w toku rozmaite pomysły i inicyatywy, których wyrazem będzie w najbliższej przyszłości zjazd ekonomistów i prawników polskich. Do tego też zjazdu (po 10 wrześniu) odkładamy obszerniejsze omówienie kwestyi. Teraz zaś pominąwszy mnóstwo ciekawych okazów i wytworów przemysłu na wystawie — zwróćmy się do pawilonu, który może zainteresować całą inteligencyą kraju. Jest nim pawilon wydziału krajowego, mieszczący wystawę szkół przemysłowych oraz okazów przemysłu domowego.

Pawilon od pierwszej chwili wejścia wywiera na zwiedzającym bardzo dodatnie wrażenie: na prawo i na lewo witają widza wypełnione po brzegi witryny. Wystawy pojedyńczych szkół idą jedne po drugich działami — kolejno oko spoczywa na czystych okazach roboty tkackiej i koronkowej, ślusarskiej, stolarsko-tokarskiej, snycerskiej, kołodziejskiej, koszykarskiej i garncarskiej. W jednej grupie mamy zebrane produkcye szkół zawodowych, oraz roboty stypendystów - fachowców wydziału krajowego — w drugiej okazy przemysłu domowego. Może właśnie to poglądowe zestawienie tych dwóch działów niezbędnie się uzupełniających, wywiera tak sympatyczne wrażenie. Z przyjemnością widzimy, że motywa i wzory wystawione przez nauczycieli nietylko znajdują zastósowanie w szkołach, lecz że tu i owdzie przenikają do wyrobów przemysłu domowego. Uważne porównanie wyrobów włościańskich z miejscowości, dokąd wpływ szkół zawodowych nie sięgnął, z temi, które już korzystały ze wskazówek fachowych — czyni zbyteczną wszelką argumentacyą znaczeniu szkół tych. W wymianie pracy i piękna, biegłości wykonania i pomysłowości czuć jakiś ruch, życie i rozwój. Publiczność najwyraźniej odczuła to dobrze: pawilon szkół zawodowych cieszy się na wystawie wielką popularnością. Jak mnie zapewnił zawiadowca pawilonu, inż. Słowiński, od otwarcia do dni ostatnich zakupiono tu wyrobów za 3000 złr.

Są tu rzeczy istotnie przepiękne na pierwszy rzut oka. Cała n. p. produkcya w zakopiańskim stylu (wystawa szkoły przemysłu drzewnego) składająca się z okazów snycerstwa, stolarstwa meblowego i budowlanego budzi zachwyt powszechny. Są tu n. p. kompletne umeblowania pokoju, utrzymane bez zarzutu w stylu czysto zakopiańskim, są pojedyncze wyroby jak: figurki, etażerki i płaskorzeźby czystością wykonania i motywu, sięgające miary artystycznej. To też zakupują je miejscowi malarze i rzeźbiarze jako pamiątki od młodszej braci. W innym znowu oddziele spotykamy prace stypendystów krajowych — n. p. stół, biurko, fotel i talerz z motywów huculskich przez p. Hnatkowskiego, pracującego obecnie w muzeum Technologicznem w Wiedniu. Ceny tego niewątpliwie najestetyczniej wyglądającego działu przedmiotów przystępne od reńskiego do kilkuset (za prace p. Hnatkowskiego i inne). Obok szkół przemysłu drzewnego spotykamy znów łatwy do oceny dla niefachowca dział robót koronkarskich. Długo stać można przed wachlarzami koronkowemi z siatki pajęczej i podziwiać te mistrzynie, które tysiące owych mikroskopijnych ściegów wykonują i te „marne puchy“, które je z lekkiem sumieniem później niszczą. Dalsza przechadzka w dziale garncarskim i porównanie dajmy na to wyrobów przemysłu domowego z Chrzanowa (wpływ szkoły w Porembie) unaocznia to, cośmy wyżej o oddziaływaniu szkoły powiedzieli. To samo w dziele koszykarskim: takie n. p. wyroby z więzownicy, pełne elegancyi, lub kilimki i dywany, poraz pierwszy swojskie i nie kłócące się barwami, mogą figurować na każdym rynku europejskim.

Nie mam zamiaru wyliczać wczystkich przedmiotów, które zwracają w pawilonie uwagę — powyższe przytoczyłem jako dowody uszlachetniającego oddziaływania dotychczasowej działalności szkół na przemysł domowy. Cokolwiekbądź sądzi teoretyk o tych szkołach i przemyśle domowym z ekonomicznego punktu widzenia — w praktyce ich znaczenie dodatnie stwierdził dziś cały szereg objawów.

* * *

Pierwsze zawiązki opieki nad przemysłem domowym sięgają zaledwie roku 1877, kiedy po wystawie rólniczo-przemysłowej utworzono „komitet doraźny tymczasowy“ dla zajęcia się tą sprawą. W krótkim czasie instytucya uległa pewnym przekształceniom. W okresie od roku 1884—1888 pod przewodnictwem energicznego marszałka Zyblikiewicza uczyniła może największe stosunkowo postępy: budżet ostatniego (1888) roku wynosił 95, 480 złr. Szkół przemysłowych uzupełniających liczono już 15, szkół zawodowych powiatowych 17 i 2 szkoły przemysłowe wyższe we Lwowie i Krakowie. W roku 1888 nastąpiło jeszcze jedno ważne przekształcenie: instytucya pod nazwą „komisyi krajowej do spraw przemysłowych“ miała się odtąd zajmować nietylko przemysłem domowym, lecz przemysłem w ogólności. Komisya ta zarządza obecnie szkołami uzupełniającemi w liczbie 31, zakładami zawodowemi w liczbie 28; udziela również pożyczek ze specyalnego funduszu dla przedsiębiorstw przemysłowych, który to fundusz przed rokiem 1894 wynosił 300.000 złr. — obecnie zaś pół miliona. Budżet wydatków komisyi na cele przemysłowe w r. 1894 wynosi 142,000 złr.

Widzimy więc, że jest to instytucya bardzo młoda. Dziś już jednak tam, gdzie szkoła miała czas rozwinąć się, dobroczynne jej skutki

są aż nadto widoczne. Dość przypomnieć stosunek tej szkoły do przemysłu drzewnego, która istnieje już od r. 1879. Inne szkoły powstały znacznie później i przez to samo nie mogły się jeszcze rozwinąć. Oto jest wykaz dat powstania 31 szkół przemysłowych uzupełniających:

1862. Lwów (izraelicka),
1880. Przemyśl.
1881. Tarnów, Rzeszów, Jarosław.
1882. Drohobycz.
1883. Stanisławów.
1884. Kraków (4), Kołomyja.
1885. Nowy Sącz, Brzeżany.
1887. Żółkiew.
1889. Wadowice, Stary Sącz.
1890. Bochnia, Gorlice, Jasło, Sambor.
1891. Wieliczka, Tarnopol, Podgórze, Biała.
1892. Stryj, Nowy Targ.
1893. Sanok, Krosno, Kraków, Brody.

Widzimy zatem, że w dziesięcioleciu ostatniem (1884—1894) powstało ogółem s z k ó ł 24. Przyznać trzeba, że jest to działalność energiczna i pozwalająca na optymistyczne wnioski o przyszłości. Ciekawą byłaby statystyka uczniów według zawodów — dla braku miejsca przytoczyć jej nie możemy. Najwięcej, (górą 600) jest szewców, tyleż prawie ślusarzy — dalej idą krawcy (440), stolarze (251) i kupcy (200) — inne rzemiosła niżej 200: koszykarzy zaś najmniej — tylko 18. Ogółem kształci się zastęp fachowców nie mały — 4517 osób.

* * *

Na pomoc dźwigającemu się na wszystkich polach krajowi przychodzi zbiorowa inicyatywa społeczeństwa. 11 lipca zamknął swoje obrady III zjazd techników polskich — z niektóremi wnioskami zjazdu pozwolę sobie czytelnika zaznajomić, ile że stoją one w bezpośrednim związku z treścią dwóch listów ostatnich. Zjazd przedewszystkiem ustanowił stałą delegacyą we Lwowie do czuwania nad swemi dezyderatami — następnie zaś pominąwszy szereg uchwał, dotyczących warunków bytu samych techników, zjazd domaga się:

1. w szkolnictwie — ujednostajnienia obecnych szkół średnich w Galicyi; zaprowadzenia wykładów ekonomii społecznej i nauki prawa administr. w politechnice lwowskiej;
2. w kwestyi robotniczej — większego uwzględnienia bezpieczeństwa i zdrowia w fabrykach;
3. uregulowania rzek galicyjskich.

Wnioski te i wiele innych świadczą o tem, że zjazd techników jest instytucyą żywotną i nie pozostanie bez wpływu na pomyślny rozwój społeczno-ekonomicznych stosunków kraju.

Ant. Potocki.

Kongres pedagogów polskich.

Drugie plenarne posiedzenie lwowskiego kongresu odbyło się przy licznym udziale uczestników z innych dzielnic Polski. Z naszych pedagogów zjawiło się zaledwie szczupłe grono. Po objęciu przewodnictwa odczytał prof. K u l c z y ń s k i telegramy od min. M a d e y s k i e g o, tudzież prof. K u n c a i J o r d a n a z Krakowa.

Pani B u j w i d o w a odczytała referat „o p o t r z e b i e p r z y p u s z c z e n i a k o b i e t d o s t u d j ó w u n i w e r s y t e c k i c h". W statystycznem zestawieniu wykazała prelegentka wzrastające stale udawanie się kobiet Polek na uniwersytety obce. Statystyka jednak — mówiła ona — nie daje obrazu potrzeb, które skłaniają kobiety do poświęcenia się studjom uniwersyteckim i ci, którzy chcą rozstrzygać na podstawie wyłącznie dat statystycznych, dochodzą do mylnych rezultatów. Wyjątkowe warunki, w jakich przychodzi kobietom walczyć z przesądami i trudnościami materyalnej i moralnej natury, powinny również być wzięte pod rozwagę. Niepospolite trudności towarzyszą kobiecie udającej się za granicę na studya. Sytuacya zmieniłaby się znacznie, gdyby kobietom otworzono przystęp do uniwersytetów krajowych. Tymczasem uniwersytet krakowski, do którego zgłosiło się kilkadziesiąt kandydatek, albo stanowczo odmówił przyjęcia ich, jak wydział medyczny, albo przyjęcie uczynił zależnem od tylu trudności, że nie wykluczając możności przyjęcia, przecież w rezultacie czyni je niemożebnem, jak na wydz. filozoficznym, na który r. b. zgłosiło się 53 kandydatek, a wszystkie bezskutecznie. Prelegentka odczytała pismo rektoratu uniwers. krak., który w odpowiedzi na podania petentek, powołał się na reskrypt ministerstwa wyzn. i oświec., stawiający różne utrudnienia w przyjmowaniu kandydatek, nawet nie w charakterze słuchaczek, ale tylko hospitantek. Reskrypt ów niedozwala na imatrykulacyę kobiet, a uczęszczanie na uniwersytet nie może być również piśmiennie poświadczone.

Ponieważ jednak oporne stanowisko ministerstwa i retoktoratu nie jest w stanie zatamować chęci wiedzy, obejmującej już dziś szerokie koła niewiast, ponieważ także z narodowych i społecznych względów pożądanem jest, kres położyć podróżom studentek do Szwajcaryi i Francyi, przeto prelegentka, kończąc swój treściwy referat stawia do uchwalenia wniosek tej treści: „Kongres pedagogów polskich u z n a j e z a p o t r z e b n e d o p u s z c z e n i e k o b i e t d o u n i w e r s y t e t ó w p o l s k i c h w c h a r a k t e r z e s t u d e n t e k."

Nad wnioskiem tym wywiązała się bardzo ożywiona dyskusya. Pierwszy mówca dr. M a ń k o w s k i wyrażał uznanie kobietom, walczącym o te prawa, jest jednak przeciwnym uchwaleniu wniosku w tej formie. Zgadza się w zasadzie na dopuszczenie kobiet do uniwersytetów, ale żąda zaprowadzenia takich ostrożności, któreby ochroniły ognisko domowe od grożącego stąd niebezpieczeństwa, a mianowicie żąda środków zaradczych przeciw rozpowszechnieniu się żądzy studjów wśród kobiet. Także wzgląd na zdrowie niewiast, przyszłych matek, które przy ciężkiej pracy umysłowej ulega nadwątleniu, skłania prof. Mańkowskiego do opozycyi. Dlatego uznaje odczytane rozporządzenie ministeryalne za słuszne. Zastrzega się jednak przed zarzutem obawy konkurencyi.

Drugi mówca B a r t o s z e w i c z (technik z Karlsruhe), na podstawie badań na miejscu, w gronie studentek, nabrał przekonania, że obawy o zdrowie i o rodzinę, jedynie jeszcze podnoszone przez niechętnych, uznać należy za nieuzasadnione i dlatego popiera wniosek pani B u j w i d o w e j.

Ob. R y b o w s k i ze Lwowa jest za przypuszczeniem kobiet do szkół handlowych i przemysłowych, byle nie do uniwersytetów.

Prof. S c h l e s i n g e r z Krakowa uważa podniesioną sprawę za kwestyę wyłącznie społeczną i z tego stanowiska, jako jedynie słusznego jego zdaniem, wychodząc, oświadcza się również za dopuszczeniem kobiet na zasadzie równych praw z mężczyznami.

Znakomitą odprawę dała przeciwnikom pani M., powołując się na to, że kobieta spełnia także wiele innych zadań, nie mniej odrywających ją od ogniska domowego, a często nawet poniżających jej godność, a przecież nikt się nie troszczy o to. Tak samo ściśle przedmiotowo poparli wniosek prof. L i t y ń s k i i S a t k a, który podniósł, że 40 procent niewiast jest niezamężnych, i że choćby tylko dla nich, niesprawiedliwość tę usunąć należy. Skoro mężczyźni nie mogą im zapewnić utrzymania — rzekł on — to nie mają prawa stawania w drodze, aby one sol ie same utrzymanie zdobywały.

Prof. K u b i s z t a l podniósł, że w niektórych gałęziach wiedzy, kobiety mogą znaczne usługi oddać nauce swemi zdolnościami. Pani B i e l s k a podniosła wzgląd na ułatwienie pracy wdowom, a pani K. na potrzebę lekarek dla kobiet i włościaństwa.

Po przemówieniu kilku innych mówców, wniosek pani B u j w i d o w e j został znaczną większością głosów przez kongres uchwalony, poczem przystąpiono do drugiego punktu obrad: „O potrzebie szkoły średniej dla kobiet", który znakomicie referowała p. M a c h c z y ń s k a, nauczycielka ze Lwowa.

(„*Kuryer Lwowski.*")

STUDYA KOBIET W GENEWIE

Widząc, że ruch umysłowy kobiet coraz żywsze budzi zajęcie, i że opinia publiczna z nim coraz poważniej liczyć się zaczyna, o czem świadczy wymownie powstanie zakładów gimnazyalnych dla kobiet w różnych krajach europejskich, jak n. p. w Niemczech (Cassel) oraz znana uchwała kongresu polskich pedagogów we Lwowie, sądzę, że szkicowym obrazem studyów kobiecych w Genewie zainteresuję czytelników „Przeglądu".

Na żądanie opinii publicznej, partej wyraźnie objawiającemi się potrzebami czasu, uniwersytet genewski otwartym został dla kobiet w r. 1874 — wydział medyczny nieco później, bo dopiero w r. 1876. Kobiety przyjmują na uniwersytet za okazaniem szkolnego dyplomu takich zakładów, które odpowiadają genewskim Collége, a zatem aspirantka do studyów uniwersyteckich żadnych egzaminów wstępnych nie składa. Dla wyjaśnienia, jakich zasobów wiedzy wymagają od kobiety, wstępującej na uniwersytet, trzeba mi zrobić małą wzmiankę o zwyż wspomnianym Collége. Składa się ono z klas siedmiu. Do trzech klas niższych stanowiących oddział pierwszy przyjmują dzieci po skończonym 11 roku — cztery klasy wyższe podzielone są na cztery sekcye: klasyczną, realną, techniczną i pedagogiczną. W sekcyi klasycznej uczą łaciny i greckiego, w realnej tylko łaciny, w dwóch innych pominięte są zupełnie języki starożytne, natomiast więcej uczą niemieckiego i matematyki — w czwartej sekcyi, nadto są wykłady pedagogiki.

A teraz powróćmy do rzeczy. Ilość słuchaczek rzeczywistych jest niewielka — wolnych słuchaczek jest znacznie więcej, a pomiędzy niemi przeważa ilość Szwajcarek. Druga kategorya, jak to wykazują statystyczne dane, małym tylko skutkiem wieńczy studya swoje. To też pominiemy ją zupełnie, ograniczając się na dokładnie podanej liczbie studentek rzeczywistych od samego otwarcia uniwersytetu dla kobiet t. j. od r. 1876.

	Polki	Rosyanki	Bułgarki i Serbki	Inne narodow.
Fakultet przyrodniczy	34	77	4	11
„ literacki	5	9	12	13
„ medyczny	38	72	4	9

Wiele studentek przeszło z jednego fakultetu na inny — i tak n. p. Polek było 68, a nie 77, jak to wypada z statystycznych danych, zatem 9 przeszło na inny fakultet. Rosyanek 142, a nie 158, a zatem 16 obrało sobie inny wydział. Najczęściej przechodzą z fakultetu przyrodniczego na medyczny.

Dyplomy uzyskane:

	Polki	Rosyanki	Bułgarki	Serbki	Ormianki	Szwajc.	Rumunki	Francuzki
Bakalaureat literacki	1							
Lincencyat nauk społ.	2	3	2					
Bakalaureat nauk przyrodniczych	28	29	1		1	1	2	1
Bakalaureat nauk matematyki	1							
Doktorat przyrodniczy	3							1
„ fizyczny		2						
„ medyczny	3	5		1				
Dyplom chemika		1						

Obecnie studyuje w Genewie:

	Polki	Rosyanki	Bułgarki	Serbki	Szwajcar	Rumunki	Ormianki	Ameryk.	Niemki	Holend
Fakul. przyrodniczy	7	8	3			1	1			1
„ medyczny	14	44		1	2		4			
„ literacki	2	6	3		1	2		2	9	1

Wszystkich studentek od r. 1893—94 studyowało w Genewie 112. Teologii, filozofii i prawa prawie wcale nie studyują kobiety, — wydział prawniczy nie miał nawet żadnej wolnej słuchaczki. Gdy się rozejrzymy w statystycznych danych zauważymy, że Rosyanek najwięcej opuściło uniwersytet z uzyskanym dyplomem, a zaraz po nich następują Polki, wprawdzie nie tak licznie, ale nieomal w wszystkich wymienionych wydziałach reprezentowne. Zauważymy również, że nauki fizyczne mało mają pązedstawicielek, — przyczyny tego szukać należy w tem, że kobiety nie są dostatecznie przygotowane wogóle, w szczególe zaś za mało posiadają wiadomości matematycznych, które ułatwiają zrozumienie fizyki. Jak widzimy rezultaty są skromne. Wiele kobiet uważa studya za rozrywkę i pewne urozmaicenie życia. — Swoboda studentki i miano kobiety „emancypowanej" ma dużo dla nas uroku — to też nauka, traktowana, jako zabawka, sprzykrzy się w krótkim czasie i powraca się do domu, aby wypocząć na dobre po tak „męczącej" gimnastyce umysłowej. Inne studentki nie mają dość wytrwałości, żeby pokonać trudności, nasuwające się tym szczególnie, które nie znają dobrze języka wykładowego, lub nie mają ogólnego wykształcenia, a nawiasem mówiąc: „ogólne wykształcenie" rzadko spotyka się u studentek. Część pewna łączy się dozgonnym węzłem małżeńskim z „kolegami" — wreszcie są przeważnie takie, które nie obliczając się z kosztami, jakich wymaga długa nauka, zmuszone są przerwać studya w połowie — a mniej oględne starczą funduszami swemi zaledwie na kilkomiesięczny pobyt w uniwersytecie.

Oprócz życia, które jest w Genewie bardzo drogie — studya sporą pochłaniają sumę. Wykłady fakultetu przyrodniczego kosztują 276 fr., laboratoryum zoologiczne w półroczu zimowem 66 fr. w letniem 36, botaniczne 50 i 30 fr.; chemiczne 30 i 60 fr.

Cena Bakalaureatu wynosi 50 fr. doktoratu 200 fr.

Wykłady medycyny z wpisem, włącznie kliniki, laboratoryów i egzaminów kosztują około 2,625 fr. doktorat 200 fr.

Wykłady nauk społecznych kosztują około 245 fr. za licencyat płaci się 100 fr. O kosztach innych wydziałów nie piszę, gdyż kobiet studyujących nie ma na nich wcale lub rzadkie wyjątki.

Wymieniając powody, dla których liczba studentek rzewistych jest tak skromną, uzupełnię nieco statystyczny wykaz uwagą, że kilka słuchaczek przeszło z uniwersytetu genewskiego na inny. Tak n. p. cztery poszły do Paryża, z których dwie ukończyły tam całkowicie studya medyczne, trzecia poświęca się dalej studyom przyrodniczym, czwarta doktoryzuje się z matematyki; następnie dwie poszły do Zurychu, 2 do Lozanny 2 do Bernu, dwie do Brukseli.

W końcu nadmieniam jeszcze, że zakłady, w celu zaopiekowania się studentkami, nie istnieją, jak to mylnie twierdzono, w Genewie; zastępuje je zupełnie solidarność narodowa i koleżeńska.

W roku 1889 założono tak zwane: „Société internationale des Etudiantes", którego członkami są jedynie studentki, i które udziela wszelkich informacyi osobom, życzącym sobie zasięgnąć bliższych wiadomości o uniwersytecie i życiu studentek w Genewie.

Tyle o studyach kobiet w Genewie. Dzisiaj jeszcze nie uznano wszechstronnie zasady że kobieta ma prawo i zdolności do wykształcenia wyższego, równającego się wykształceniu męczyzny. Kobieta — studentka nie cieszy się dotychczas popularnością, lecz skoro rozmnożą się gimnazja w celu przygotowania kobiet do nauk uniwersyteckich i tem samem ułatwią im przystęp do tej krynicy wiedzy, zwiększy się niezawodnie ilość kobiet studyujących, a studentka przestanie być „cudzem zjawiskiem"..

H.

KRONIKA LITERACKA.

— **A Chudziński.** Praktyczna gramatyka języka polskiego na trzy kursy podzielona. Część wstępna. Pisownia. Brodnica 1893.

Przypadkowo dostała nam się w ręce maleńka książeczka, o której istnieniu nie doniosło dotychczas żadne z czasopism polskich; zawiera ona krótki praktyczny wykład pisowni polskiej zastosowany do obecnych warunków szkolnych Księstwa i Prus Zachodnich, a przeznaczony dla początkujących uczni gimnazyalnych. Snać autor zrozumiał, że gramatyka na stopniach najniższych szkoły wtedy jedynie uczniowi odpowiedniej przynosi korzyści, jeżeli materyał w niej zawarty służy wyłącznie praktycznym potrzebom ucznia; nie znajdujemy bowiem w nauce pisowni żadnej teoryi językowej, a wszystko zmierza do tego jedynie, aby w drodze praktycznych uwag i przykładów wyro'ić w uczniu poczucie ortografii polskiej. Wykład p. Chudzińskiego nie jest wszechstronnie wyczerpującym, ale zaleca się jasnością, zręcznym układem i trafnem zastosowaniem do obecnych stosunków szkólnych zaboru pruskiego. To też nie wahamy się „praktycznej gramatyki języka polskiego" polecić usilnie dla najniższych stopni pruskich szkół gimnazyalnych i domowego użytku, wyrażając przytem nadzieję, że autor zbyt długo czekać nam nie pozwoli na dalszy ciąg rozpoczętego, a w naszych warunkach gorąco upragnionego dzieła. *R.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Korespondencya z Śląska Polskiego** zamieszczona w Nr 14 „Przeglądu Pozn." ściągnęła na nas aż z dwóch stron dziennikarskie gromy. „Gazeta Opolska" zrozumieć nie może twierdzenia naszego, że po zwycięstwie majora Szmuli w radości ludu tryumfującego czuć było jakieś tchnienie niepewności. „Nie może bowiem — mówi organ szlązki — być mowy o niedowierzaniu własnym siłom, gdy się jest po walce ze świetnem zwycięztwem odniesionej ??)." Nie będziemy „Gazecie Opolskiej" tłomaczyć, że i zwycięzca, mianowicie w szlązkich warunkach, może mieć pewne skrupuły i obawy obniżające jego „pewność siebie", protestujemy raczej przeciw drugiemu zarzutowi, jakoby żal nasz z powodu chłodnej ciszy po tryumfie wyborczym był dowodem politycznego krzykactwa. My potępiamy stanowczo tę politykę, której jedynym fundamentem jest frazes krzykliwy i demonstracya głośna, — jako praktyczni politycy jednak uwzględniamy psychologię tłumów i dla tego zewnętrznych objawów patryotyzmu z programu naszego nie skreślamy.

Zresztą „Gazeta Opolska", a za nią „Orędownik", przemówiły do nas w tonie tak pedagogicznym, że ton ten nieomal graniczy z śmiesznością. Dla braku miejsca nie sprzeczamy się z przeciwnikami po czyjej stronie jest większa znajomość stosunków szlązkich, — radzimy im natomiast szczerze, aby postarali się o większe zasoby logiki politycznej, i unikali dziwacznej połowiczności, która niekiedy zgubne wydaje owoce. „Gazecie Opolskiej" zalecamy gorąco wzorować się według „Nowin Raciborskich" — chociaż przewidujemy, że rada taka wyda się obrazą „szlązkiemu Narcyssowi."

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Wojna między Chinami a Japonią już rozpoczęta. W pierwszem starciu na półwyspie Koreańskim zwycięstwo odnieśli Japończycy. Zdaje się jednak, że interwencya państw europejskich zażegna burzę wojenną. — Zatarg niemiecko-portugalski w wschodniej Afryce nie grozi poważnem niebezpieczeństwem. Niemcy cofną prawdopodobnie swój protest przeciw okupacyi Kiongi. — Hiszpanja przygotowuje wyprawę przeciw powstańcom mahometańskim w Mindenar. Gubernator wysp Filipińskich udał się na miejsce rozruchów. — Proces Caseria rozegra się dopiero w miesiącu sierpniu przed kratkami sądowemi. — Nowa ustawa szwajcarska przeciw anarchistom zawiera nader ostre przepisy. Karze długoletniego więzienia podlegają nietylko sprawcy zamachów, lecz również ci wszyscy, którzy do wykroczeń anarchistycznych zachęcają lub pomagają. Udziału w porozumieniu międzynarodowem przeciw anarchistom Szwajcarya odmówiła.

— **Zjazdy i kongresy.** Zjazd polskich dziennikarzy i literatów we Lwowie świetnością swoją przewyższył oczekiwania nasze. Najwybitniejsi uczeni, literaci i publicyści polscy zgromadzili się w mieście wystawy, a w poszczególnych sekcyach uchwalono nader doniosłe rezolucye. Z poznańskich literatów brał udział w kongresie p. dr. Celichowski, którego wykład p. t. „W sprawie oświaty ludowej w Poznańskiem" zamieścimy niebawem w łamach pisma naszego. Siódmy zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie zgromadził również wielką liczbę uczestników. — Kongres bułgarski dziennikarzy i pisarzy w Sofii otwarto 24go lipca. Bierze w nim udział 180 członków i znaczna liczba gości — nieliteratów, pomiędzy nimi minister Tonczew i Radosławow.

— **Wystawy. W Londynie** odbyła się międzynarodowa wystawa introligatorska. — W Erfurcie urządzono wystawę przemysłową. — W Dusseldorfie odbyła się wystawa fotograficzna. — W Zurychu otwarto wystawę kantonalną.

— **Teatr i muzyka.** Hrabia Tołstoj napisał libreto do opery, w którem daje wyraz znanym swoim poglądom na przybierające coraz groźniejsze rozmiary pijaństwo. Będzie to więc może pierwsza opera patologiczno-kliniczna. Muzykę do libreta Tołstoja skomponowała — kobieta.

— **Odbarwianie się ras ludzkich** jest wedle znakomitego antropologa Mahoudeau znakiem przystósowania się człowieka do nowych warunków życia na naszym planecie. Barwa czarna istotnie wzmaga zdolność emisyjną ciepłoty, a przypuszczając, że nasz stary glob ciągle się ochładza, pojąć łatwo, że korzyści z tego w końcu przypadną w udziale rasom o skórze bielszej. Barwa ta zatrzymuje doskonale ciepło, wytwarzane przez spalenia wewnętrzne. Przyszłość zatem należy do ras odbarwionych, a biali do wielu korzyści zapewniających im zwycięstwo w walce o byt, dołączyć jeszcze mogą białość swej skóry.

— **Wody mórz** wskutek swej masy bardzo powoli przyjmują temperaturę powietrza. Zostają one zimne podczas kiedy powietrze już jest bardzo gorące, a są jeszcze bardzo ciepłe, podczas kiedy pora ciepła dawno już minęła. W tym kierunku badania liczne podjęte przez szkockie towarzystwo meteorologiczne wykazały, że najwyższą ciepłotę osięgają wody morskie w końcu miesiąca sierpnia, i że w tym miesiącu woda jest cieplejszą od powietrza. W listopadzie temperatura przeciętna mórz w naszym klimacie bywa wyższą o 6 stopni, a w grudniu o 7 stopni od temperatury powietrza. Za to w czerwcu, choć temperatura atmosfery bywa często bardzo wysoką, morze nie jest cieplejszem, jak w październiku. Łatwo ztąd zrozumieć, że niebezpieczniej jest kąpać się w początkach upałów letnich, niż w pierwszych dniach jesieni.

— **Vrchlickiego i Jellinka** przyjmowano owacyjnie w czasie pobytu ich na wystawie lwowskiej. Kobiety zarzuciły ich kilkakrotnie kwiatami, a młodzież uniwersytecka zgotowała im entuzyastyczne przyjęcie w czytelni akademickiej.

— **Ibsen — plagiatorem.** Słynnego poetę norwegskiego spotkał w najświeższym czasie zarzut plagiatu. Głośny artysta dramatyczny Ernesto Rossi ogłosił w jednem z rzymskich czasopism, że dramat „Wróg ludu" jest tylko przeróbką utworu niedawno zmarłego Riccarda Castelvecchia p. t. „Il medico condotto" Ibsen uwiadomiony o zarzucie przez przyjaciela swojego Bjornsona, oświadczył publicznie, że ani utworu powyższego nie czytał, ani nawet o egzystencyi Castelvecchia nie słyszał.

— **Niebawem opuści prasę** zapowiedziane w grudniu nowe popularne wydanie dzieł W. Szekspira z rycinami w 12 tomach, obejmujących całkowity zbiór tragedyi, dramatów i komedyi genialnego dramaturga w przekładzie Z. Ulrycha. Dzieło to wydaje znana księgarnia Gebethnera i Wolffa.

Zmarli:

Wiktor Bestos, rzeźbiarz portugalski. Umarł w Lizbonie.

Henryk Chojnacki, artysta muzyk i kompozytor. Umarł w Warszawie.

Marya z Siemiradzkich Obrąpalska, literatka. Tłomaczyła celniejsze dzieła społeczne z obcych literatur.

Kasylda Kulikowska, znana patryotka warszawska. Tłomaczyła kilka cenniejszych utworów z literatury francuzkiej i angielskiej, Umarła we Lwowie.

BIBLIOGRAFJA.

Klemens Junosza. Monologi. Kraków 1894. Cena 3,00 mr.

A. I. Goldenweiss. Prądy i reformy społeczne w Anglii XIX wieku. Warszawa 1894. Cena 2 mr.

Jan Bystroń. Historya Rzymska. Kraków 1894. Cena 2 mr.

A. Brückner. Średniowieczna poezya łacińska w Polsce. Kraków 1894. Cena 1,20 mr.

Farrar. Mrok i brzask. Powieść z czasów Nerona. Warszawa 1894. Cena 4,80 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Towarzystwu Polskiemu w Buenos Ayres. Życzymy serdecznie powodzenia w narodowej pracy. Żądane numery pisma wysłaliśmy onegdaj. Prenumeraty zniżyć nie możemy.

Czytelnikom z Wrocławia. Nazwiska autora znakomitej biografii Tadeusza Kościuszki, wydanej nakładem muzeum Narodowego w Rapperswylu, zdradzić nie możemy. Sprzeciwiają się temu względy na cenzurę rosyjską.

X. X. w Gnieźnie. Pamfletów nie zamieszczamy.

Materyalistce. Satyry nadesłanej drukować nie możemy.

„Miłość, siostro, a miłość, to wielka różnica,
Co innego jaja w occie, inna jajecznica."

Tak powiedział stary „praktyk" kunszu miłosnego.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego." Czcionkami W. Simona w Poznaniu.